NOWOROCZNIK LITERACKI

NA ROK

1843.

Wydany

PRZEZ

K. A. S. Krasińskiego.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1843.

NOWOROCZNIK

LITERACKI.

NOWOROCZNIK LITERACKI

NA ROK 1843

WYDANY

PRZEZ

Księdza Adama Stanisława Krasińskiego.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże.
Jan Kochanowski. *Pieśń 19, Ks. 2.*

Wilno.
DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.
1843.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1843 roku 16 Stycznia.

Cenzor Jan Waszkiewicz.

PRZEMOWA.

Od lat kilku jedynym i upodobanym moich zatrudnień przedmiotem są nauki duchowne, a szczególniéj wymowa kazalna. Drobna praca, którą Wam składam Ziomkowie, utworzyła się w chwilach wytchnienia; dla tego o niéj sam z największą skromnością trzymam, i żadnego sobie za nią prawa do zasługi nie roszczę. Może mi kto powiedzieć, że w naszéj epoce, która tak religijną i wysoką wzięła dążność, że w naszém

położeniu, gdzie żniwo jest wielkie a robotników mało, nie powinienbym ducha mego rozpraszać i zajmować się Noworocznikami. Na to odpowiadam: Duch Boży wieje gdzie chce. Może w kim i Noworocznik myśl dobrą, lub święte natchnienie obudzi. Nie wszystkie tu artykuły są dobre, ale żaden złéj lub obojętnéj dążności nie ma. Starałem się najwięcéj o prozę filozoficzno-moralną; bo wiém, że to i z duchem wieku i z naszemi moralnemi potrzebami jest zgodne. Z pociechą wyznać możemy, że już mamy wielu myślących czytelników, u których każde głębiéj pomyślane pismo dobre przyjęcie i współczucie znajduje: bo to dowodzi, że idziemy z postępem wieku i że już nam choć z daleka, moralnego i umysłowego odrodzenia się zorza przyświéca.

POEZYE.

południa, gdzie ruch jest wielki a robotników mało, nie powinienbym ducha mego rozpraszać i zajmować się Noworocznikami. Na to odpowiadam: Duch Boży wieje gdzie chce. Może w nim i Noworocznik zasiać dobra, lub święte natchnienie zbudzić. Nie wszystkie te [illegible] nie żaden złej lub [illegible] Starałem się najwięcej o pracę filozoficzno-moralną; bo wiem, że to i z duchem wieku i z naszemi moralnemi potrzebami jest zgodne. Z pociechą wyznać możemy, że już mamy wiele myślących czytelników, o których każde głębiej pomyślane pismo dobre przyjęcie i współczucie znajduje; bo to dowodzi, że idziemy z postępem wieku i że już nam choć z daleka, moralnego i umysłowego odrodzenia się zorza przyświeca.

Hymn o Ś. Stanisławie

Biskupie Krakowskim.

Cześć Tobie naszéj krainy Patronie!
Ziomku nasz święty! synu naszéj ziemi!
Gdy kościoł w smutku, a lud we łzach tonie,
Módl się do Boga za ziomkami swemi.

Tyś nieulękły, jak Prorok Jordanu,
Bronił czci Bożéj i dobra kościoła;
Tyś i przed gromem, jako cedr Libanu,
Nie umiał schylić szlachetnego czoła.

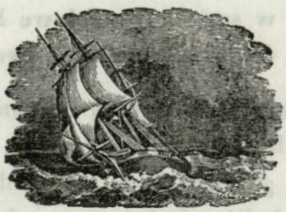
Wzorze Pastérzów! co w twéj trzody sprawie,
Głowę swą Bogu dałeś na ofiarę;
Bądź naszym wodzem, święty Stanisławie!
A my i na śmierć — pójdziemy za wiarę.

Krew twa męczeńska i twych cnót nasiona,
Kwitną na niebie, jak palma zielona;
Tam, święty ziomku, proś Boga za nami,
Niech się naszemi już przebłaga łzami.

A gdy nad nami, albo nad Kościołem,
Chmury się zbiorą i burze zagrożą,
Ty dla swej trzody bądź stróżem-aniołem,
Ty wtenczas od nas odwróć karę Bożą.

Twoja opieka, niech nas w każdej chwili,
Manną i rosą niebieską zasili.
W smutku, w chorobie, w życiu i przy zgonie,
Módl się za nami, Święty nasz Patronie!

A. S. Krasiński.



Niepewność i Nadzieja.

Wyjątek.

XVIII.

NIEZBADANA, niepewna, niestała istota,—
Człek, codzień z sobą walczy, dąsa się i kłóci;
To zamiera w lenistwie, to się w pracę miota,
Dziś wszystkiego pożąda, jutro wszystko rzuci.

Nieudolny umysłem, niedołężny ciałem,
Dni swe udręcza trwogą, lub trwoni bezładnie;
Aż z niepewném swém sercem i z jestestwem całém,
W wieczną niepewność wpadnie, i . . przepadnie.

XIX.

Chceszże wybrnąć z tej toni, bez dna i bez końca?
Chceszże bezpieczny przebyć niezgłębne otchłanie?
Nad morzem wątpliwości, niech krzyż godłem stanie:
On—gwiazdą obłąkanych!...On—słabych obrońca!

I łódź twego żywota puść wolno bez trwogi;
A do portu zbawienia wprowadzić ją zdoła,
Ten, co pięcią chlébami, nakarmił lud mnogi,
Ten, co w burzy kierował łódką Apostoła.

Ignacy Chodźko.

Dziewiętnie 1842 r.



Popielec.

Północ wybiła — już w świątyni Boga,
Popielec dzwonem zabaw koniec nuci;
I w głębi duszy zabrzmiała przestroga:
Kto z prochu powstał, ten w proch się obróci.

Zbliża się piękność, hołdują jéj światy,
Pokornie klękła z pochyloném czołem;
Popiół przysypał zdobiące ją kwiaty;
Nie długo sama stanie się popiołem.

Przyszedł poeta i uchylił czoła.
Smutny! Wiém czemu poeto się smucisz:
Gdy ciebie świata nieśmiertelność woła,
Przykro usłyszeć, że się w proch obrócisz.

Z kolei, starzec głowę swą nachyli;
On się uśmiécha, on myśli o duszy:
Cóż go obchodzi, że popiół w téj chwili,
Już bielejące włosy mu przypruszy?—

Idą, klękają, żołnierz, rolnik, dziécię:
Kapłanie! garstkę popiołu im rzucisz,
Mówiąc każdemu: godziny nie wiécie,
Lecz wiész czém byłeś, i w co się obrócisz.

Czy dziś, czy jutro śmierć na nas zawoła.
Przyjdzie nam wszystkim żegnać się ze światem;
I popiół, który pruszy nasze czoła,
Jako my dzisiaj, ach! i on był kwiatem.

Kwiat, z dnia tryumfu palmowéj niedzieli,
Kiedy w gród święty, z obliczem wesołém,
Wjeżdżającego Chrystusa widzieli;
Dziś Jeruzalem — czémże jest? popiołem.

Ale z pod gruzu, ale z pod ruiny,
Tli płomień wiary, nadziei, miłości;
Zmienią się w popiół światowe wawrzyny,
Popioły palmy zakwitną w wieczności.—

Nadzieja, Bracia! gdy kapłan wam powie,
Rzucając popiół, że w proch się obrócim;
Myślmy, że mamy już wieniec na głowie,
I piérwszą strofę zbawienia już nucim.

G.



Hymn przy złożeniu do grobu Chrystusa (*).

Synu nieba! Synu Boga!
Jakże Twoje krwawe losy!
Jakże krwawa Twoja droga
Drętwi serce, jeży włosy!
Oczy zmienia w łez krynice,
Nocy na dni, dni na noce;
Twa nauka, Twe owoce,
Jak grobowe dzisiaj świece.

(*) Z poematu: *Messyasz*.

Póki żyłeś, żyły w Tobie:
Wiara, prawda, wieczność, cnoty;
Dzisiaj z Tobą wszystko w grobie,
Ziemia wdowa, my sieroty;
Dzisiaj wszystkich płacz tłumaczem,
Ziemia płacze — i my płaczem.

Oko, ucho, myśl i rada,
Krzyżem dysze, na krzyż pada.
Wielka radość, wielkie święto
Które święci ta kraina,
Dzisiaj dla nas jest odjętą;
W czarny całun się opina;
Wszystko twym się czerni zgonem,
Jeruzalem — Babilonem.
W Nil się zmienił Cedron święty,
Palestyna w kraj przeklęty;
Syon w Trupią — a Golgota
W górę cześci i żywota.—
A te skały, te parowy,
W świętych święte, Dom Jehowy.

Cześć tym górom, tym opokom,
Cześć, cześć Twoim świętym zwłokom—
Tu nasz Syon, tu świątynia,
Tu Serafim, Setym, Skrzynia.

Tu, czy słońce zajaśnieje,
Czy noc w gwiazdy się osieje,
Wszyscy krzyżem rozesłani,
Łzy i jęki damy w dani.

Teraz skało! otwórz skało!
Twoje wnijście, twoje serce;
Pan odziany wieczną chwałą,
Pan zabity przez morderce,
Na gościnę tu trzydniową
Niesie wielki klucz tajemnic;
Zkąd zwyciężca wiecznych ciemnic,
Wzbije się z słońcem na nowo.
I od wschodu do zachodu,
Od południa do północy,
Od narodu do narodu,
Zagrzmi gromem Boskiéj mocy.

Karol Chrzczonowicz.

Ksiądz i Młodzieniec.

KSIĄDZ.

Co ci? młodzieńcze! czy się jak grzechu
Lękasz radości? że twego lica,
Nigdy żywego uśmiechu
Nie rozjaśni błyskawica?
Tylko jak księżyc w obłoku,
Jak kwiat na dziecięcia grobie,
Gwiazda dumań w twojém oku
Przyświeca serca żałobie.
W imie Najświętszego Ducha
Niosę ci słowa pociechy:

Bóg dobry — modły wysłucha,
Bóg dobry — odpuści grzechy.

MŁODZIENIEC.

A miałeś ty matkę? Księże!
Słuchaj — nie,... patrz — to grób świeży,
A w nim — moja matka leży.
Lecz gdy wzrok duszy natężę,
Widzisz — wszak idzie .... to ona!
W bieli, tak jak pogrzebiona.
Tak ją widzę w każdéj chwili.
O! nie! wzrok duszy — nie myli.
Matko! weź z sobą twe dziecię,
Mnie tak nudno na tym świecie.
Ach! znika! Księże! chodź, na jéj mogile
Ty się pomodlisz, ja zapłaczę chwilę.

KSIĄDZ.

Co ci? synu! — widmo, mara!
Przeżegnaj się, gdzież Bóg, wiara?
Kto stanął za życia progiem,
Niechaj odpoczywa z Bogiem.
Tego między żyjącemi
Nie obaczy nikt na ziemi.

MŁODZIENIEC.

A Księże! wszakżeś ty sam śpiéwał na pogrzebie:
»Kto wierzy, chociaż legnie pod deską grobową,

Nie umrze, i na Twoje zmartwychwstanie słowo.»
A ja — i w Boga na niebie,
I w jéj zmartwychwstanie wierzę.
Kapłanie! pomódl się szczérze.
Weź moje łzy, nie bój się, po matce łzy syna,
One nawet świętego nie splamią kielicha.
Ty widzisz, jak me serce od żalu usycha;
Czyż to grzech, że syn matkę i w grobie wspomina?
Przeklęty! kto o zmarłéj matce zapomina.
Matko! przebacz łzy moje, na wieczności progu,
Bo pamięć twoja dla mnie najświętsza po Bogu.

A. S. Krasiński.



Do Podolanki

w obcéj stronie.

Matko! dobroci aniele!
Czemu, jak w mętnym potoku,
Jakby w pamiątek kościele,
Smutek w sercu, łzy w twém oku?
A jeśli przypadkiem z czoła
Niechętny uśmiech zaświeci,
Wnet myśl skrzydłami sokoła
Na Podole, w przeszłość leci,
Chmura na czole zawiśnie,
I znowu żal serce ściśnie.

Czyliż tylko przy rodzinie,
I tylko w dni rannych wiośnie,
Strumień szczęścia dla nas płynie,
I kwiat wesela nam rośnie?
Skoro miłość braci-ludzi
Zostanie duszy potrzebą;
Nigdy smutku nie obudzi
Obca ziemia, obce niebo....
I czemuż twe serce wzdycha?
A z oczu łza płynie cicha?

—Nie pytaj—W pierwszym życia mego kwiecie,
Żyłam na czułym, nie na zimnym świecie;
I wcześnie życie z całą duszy siłą,
Jakby w ognisku, w sercu się skupiło:
Tu głosu mego żadne nie odbija echo,
Wśród cudzych zimnych twarzy, łzy moją pociechą.
Mnie nie z lodu, nie z głazu utworzyły Nieba,
Mnie dla ulgi w cierpieniach współczucia potrzeba;
I w obcej nawet szczęście znalazłabym stronie,
Bym mogła choć zapłakać na przyjaźni łonie.

»Patrz—tam, w gorze, daleko, aż przy niebios progu,
Widzę okiem proroka, z trzech gwiazd wieniec świeci;

A piérwsza gwiazda — to nadzieja w Bogu,
A druga gwiazda — to pociecha z dzieci,
A trzecia gwiazda — to czyste sumienie.
Jeśli ci świecą tych trzech gwiazd promienie,
Na cóż się dręczysz żałami próżnemi?
Połowę raju znalazłaś na ziemi.

A. S. Krasiński.



Poeta obłąkany.

Ach! jakże w oczach mi ciemno!
Jakaż to czarna chmura nade mną?
Wali się na mnie, do ziemi przyciska
I grzmi i błyska?

Jakiż to potwór pod memi nogami?
Wyciąga łapę, za nogę mnie chwyta!
Z brudnego pyska
Zarazę pryska,
I białemi kłami
Dzwoni i zgrzyta?

Ktoż to mi szepce do ucha?
Jak okropnie!
To szatan — Ha, stój, szatanie!
Uchwycę cię i zduszę.

Cóż to jest? cóż to za obłąkanie?
Pamięć nie działa,
Rozum nie włada,
Dusza zbolała
Na dwie się części rozpada.

Cóż to jest?—Ogień piersi me wyjada!
Ręce stygną, głowa płonie,
I zawrót się wzmaga!

Panie mój, Panie nad Pany!
Ciężkie Twoje proby—
Oto me ręce wyschłe od głodu,
Żółte jako liść w jesieni—
A zimne jak z lodu.
A na kościach ślady żelaznych pierścieni.
Oto jeszcze krew zapiekła
Z mojego biodra nie ściekła;
Oko powłoką szklistą otoczone
Nic już nie widzi — tylko jak gromnica,
Kościotrupom przyświeca.
A usta moje na węgiel spalone.
Panie! a jam Ci temiż ustami

Za wszystkie męki dziękował;
I temiż rękami
Rany moje błogosławił:
Bom ja siebie nie żałował,
I dla siebie o litość nie żebrał.
A Tyś mi, Panie! rozum odebrał...
I życie zostawił...
Dla sromu.

. . . .

Zabij mnie strzałą Twojego gromu,
Jeślim zgrzeszył przeciw Tobie!
Jam żywy w grobie!
Nie przyjdzie do mnie matka obłąkana z żalu,
Z jękiem i płaczem, wołając o syna,
Ani ojciec zbolały, jak wbity na palu,
Ani żona po stracie małżonka w żałobie,
Ani z niemą boleścią, z utajonym płaczem,
Biedna, kochana dziewczyna.
Nie przyjdą — nie! . . . .
. . . .
. . . .
Panie! zerwij ten łańcuch, co mię z światem wiąże,
Wyrwij to żądło, co me serce bodzie,
Roztargaj te uczucia, za któremi dążę,
Zrób mnie kamieniem.—

Wtenczas wkopię się w ziemię i wiecznêm milczeniem
Zamknę usta moje.

Wszak Tyś promieniem, od swego ogniska
Powiązał ludzi przy ich stworzeniu:
Ojcze! i Tobież po tym promieniu
Łza dzieci własnych do serca nie spływa?
Ich jęk żałośny w ucho się nie wciska
I tu *(pokazując na serce)* czyż się nie odzywa?

(postrzega napis na ścianie)

»*Ufaj, a wiara cię zbawi.*«
O! jak słodkie niegdyś były te wyrazy,
Gdy z sercem czystêm, z sumieniem bez skazy,
Codzień przy cichej modlitwie wieczornej,
Silny wiarą, i pokorny,
Jak Chrystus w Ogrojcu,
Cierpienia moje powierzałem Tobie,
Jak syn dobry dobremu powierza je ojcu.
Ach! i tyś wtenczas tę dziecka pokorę
Umiłował sobie;
Bo zawsze w serce strapione i chore,
Po takiéj z Tobą rozmowie,
Wlewał się balsam, powracało zdrowie,
Zstępował anioł — pociechy.
A dziś! *(płacze)*.

(Słychać muzykę kościelną i śpiewy — Pada na kolana).

Ojcze mój! odpuść me grzechy!
Zapomnij, jeślim zbluźnił, wróć mię na swe łono,
A jeśli grzesznikowi, w pokornej postaci,
Prosić za innych grzesznych pozwolono,
Zbaw mych współ-braci!
Jednak nie moja, lecz Twoja bądź wola,
Boś Ty jest Pan!

Bądźże pochwalony,
W miłosierdziu nieskończony,
Święty! Święty! Święty!
I w miłości niepojęty!

W.



Przy ofiarowaniu książki do nabożeństwa dla syna.

Kiedy dusza ciężarem smutków uciśniona,
I umysł zebrać myśli rozpierzchłych nie zdoła;
Gdy w walce z sprzecznym losem o ratunek woła,
A z boleści, na ustach głos modlitwy kona,
Jak dogodnym jest książka do modłów tłumaczem,
Ogrzana westchnieniami i zwilżona płaczem.
Jakież niebieskie światło do duszy wstępuje,
Jaki balsam rzeźwiący w sercu się rozleje,
Gdy nas anioł pokoju skrzydłem swém owieje,
I człek rozkosz spełnionéj powinności czuje.
Niech ci będzie pamiętną ta ojca przestroga:

Bądź jak chcesz najcnotliwszy, lecz módl się do
Boga.
Któż nie doznał ucisku na téj życia drodze?
Kto najdroższéj z swych uczuć nie poniósł ofiary?...
Jednak nasze cierpienia czyliż dójdą miary
Mąk, które nasz Zbawiciel za nas cierpiał srodze?
W smutkach swych miéj przed sobą obraz jego
żywy,
Pomnij o nim, Edwardzie, a będziesz szczęśliwy.
Niech wiara i modlitwa krzepi twego ducha,
W cierpieniach i pokorze zahartuj się, synu!
Nie dosyć czuć i myśleć: trzeba jeszcze czynu,
A tym czynem są modły i pobożna skrucha.
A jeśli kiedy smutek dotknie cię głęboki,
Nie upadaj na sercu—choć nas ciężko boli:
Czyliż możemy szemrzeć przeciw Stwórcy woli?
W którego ręku naszych przeznaczeń wyroki.
Rzeknij: są niezbadane sądy Twoje, Panie!
Stało się!.. niech się święta wola Twoja stanie.

S. Rosołowski.



Sokrates przy zgonie.

Umrzeć! umrzeć dla cnoty—jest to zacząć życie!
Skończyć jak się zaczęło i niewinnie zginąć,
Jest to wrócić do źródła i ciągle w niém płynąć,
Jak płynie w myślach matki już stracone dziécię.
Na grobie świętéj cnoty nowa postać klęka,
Piękne uczucie skarbi dla ludzi swych braci,
I zebrane w tysiące rozléwa postaci,
By swiécić cnoty światłem, jak świéci jutrzeńka.

Jeśli dni twe prowadzisz, jak wody strumyka,
Co brzęcząc ucho wabi i użyznia pola,
Jeśli cię stan nieszczęsny twych bliźnich dotyka,
I cnota jest usiana bytu twego rola,
Śmierć cię znowu ożywi—a światło promyka,
Trwać będzie wiecznie w duszach, jak rozum i wola.

B. L.

Ubogi.

Przekład.

Jam wpośród obcych! jeden i sierota!
O Boże! mnie strach przystąpić do ludzi:
Bo jakże w gmachy świecące od złota
Wejść w biednej szacie, gdy bieda śmiech budzi?
Ja łzę uronię — już anioł pociechy
Nad mą gasnącą źrenicą jéj czeka,
I Bóg ją dobry przyjmie za me grzechy:
Tylko brat-człowiek, brata i człowieka,
Skarg niedosłyszy, westchnień nie zrozumie.
O ludzie! ludzie! i biedny czuć umie!

Może on w jednę łzę, w jedno westchnienie,
Życia i wieku całe zlał cierpienie.
Bóg z wami, ludzie! ja z duszą ściśnioną
Na wasze zimne nie rzucę się łono.
Głęboko żal mój na dnie duszy skryję,
Na sercu łzę wypalę, co głazy przecieka;
I — niemy, jeden, gdy chwila dobije,
Bogu, co cierpiał, złożę krzyż człowieka.
Wy przebawicie dni szczęściem pijane,
Ja, przebieduję długie cierpień lata;
I tam, gdzie podłość, ni złość nie dolata,
Jako wam równy, jako człowiek stanę.

A. S. K.



Majtek w Kronsztacie.

Tu z łoskotem kotwica słone wody spienia,
Tam pod żaglami nawa opuszcza odnogę,
Tu okręt, co mu burza grała pieśń zniszczenia,
Zraniony bok naprawia, by znowu iść w drogę.

Tam barki ludzkie znoszą dary wschodu błogie,
Tu Anglik dzieła sztuki na chleb ruski mienia;
Owdzie celnik śledzące zapuszcza spójrzenia,
Tam Negr leniwy klątwy wyziewa złowrogie.

I tak ludzie, chcąc użyć, prowadzą wiek krwawy;
Łudząc się, giną marnie w morzu, lub mogile.
Ja w południe po pracy odpocznę na chwilę.

Wypuszczam z ręki linę, siadam na kraj nawy,
I, dostając z zanadrza suchy kawał chleba,
Dziwię się, że dla drugich tak wiele potrzeba!...

Szperber.



Zamek w Wyborgu.

Niegdyś straszny sąsiadom, dziś przykład pokory,
Zdaleka niebotyczną ukazujesz głowę;
Tam prostota osadza bajek dziwotwory,
A mędrzec w bliznach czyta twych dziejów osnowę.

Gdzie królewskiej muzyki niegdyś brzmiały chory,
Tam zbrodniarz się przesmyka brząkając kajdany;
Tylko fale Baltyku, jak dawnemi pory,
Tak i teraz całują stopy twojej ściany.

I gdy nad tobą księżyc w cichą północ płynie,
I gór olbrzymy wkoło, i gienjusz milczenia,
Obsiądą cię, by dumać, jak się wszystko zmienia;

Wynoszę krok niepewny z cichego schronienia,
I marząc o Wołyniu, przeszłości, rodzinie,
Z weselszém sercem na twej zasypiam ruinie.

Szperber.

Porynga (*).

Jakże ciężką żałobą nasz kościół się czerni!
Strzałą smutku przeszyci chodzą prawowierni,
Palą pogrzebne ognie, i z schyloną głową
Poruszają z jęczeniem arfę pogrzebową;
Gdy drudzy lice ziemi kryjąc twarzą własną,
Z jękami się podnoszą, z westchnieniami gasną.

Patrz — oto z rozdartemi Porynga piersiami,
Osypana popiołem, okryta kośćmi,

(*) Wiersz ten za pozwoleniem Szanownego Autora nieco skrócony został.

Krwią ludzką zrumieniona, jak Syońska wdowa,
Sceny krwawsze, domowe stawić nam gotowa,
Niżli widziała ziemia za Wespazyana,
Najeżona trupami, krwią męczeńską zlana;
Gdy ze wstrętu i trwogi same gwiazdy bladły,
Kiedy psy trupy grzebły, matki dzieci jadły,
Kiedy w żywych wnętrznościach żołdak ręką mieszał,
A wysnute jelita na drzewcach rozwieszał.
Z łez była niebios szata, a Cedron wezbrany,
Jak ojciec wód Egipskich, krwawemi lał piany.
Wołaniem Samuela obudzony Heli,
Wybladły, przerażony wypada z pościeli;
Niżli głos Najwyższego zgon synów obwieści,
Już przeczucie mu tysiąc zadaje boleści.
Z niemniejszém przerażeniem z niebieskich firanek,
Wybladłe lica światu ukazuje ranek.
Ten równie jak natura i cały świat drżący,
Z przerażeniem witały dzień nastawający;
A słońce — słońce długo swoje wyjście zwleka,
Nierade ono patrzy na klęski człowieka.
Aż jak wróżba złej doli wynikło w czérwieni....
Na kościele Poryngi krzyż krwią się rumieni,
Lud go z pokłonem wita, a on mu przyświeca,
Jako konającemu na marach gromnica.

Drżyj ziemio! już kościelne otwarto podwoje.
Płyną, jak gdyby woda, prawowiernych roje,
Jeden przed drugim bieży, tłoczy się i wciska,
Zda się do ojczystego że dąży siedliska,
I mniema, że w kościelnej kiedy stanie nawie,
Niebo i świętych pańskich obaczy na jawie.
O! w tym razie zapewne przeczucie nie zdradza!
O! i czemuż tak silna ta w zwierzętach władza,
W człowieku jest uśpiona, i jak Prorokini,
Choć woła, w własnym kraju wrażenia nie czyni.

I Poryngi świątynia ma swego Jonasza.
Brzęk pogrzebowych śpiżów nieszczęścia ogłasza.
Głosem silnym, jękliwym, głosem Archanioła:
»Uciekajcie z świątyni, uciekajcie!" woła.
Wy mężowie, rodzeństwa tysiącznego głowy!
Oto po was sieroty zostają i wdowy!
Jako namiot nad niemi wiszą łzy i bieda,
Ich płacz wam spokojności i w mogile nie da.
Ale w mężach i ciało i dusza jest głucha:
Nikt dzwonów nie rozumie, przeczucia nie słucha.

Wasze czulsze wnętrzności, wy żony, wy matki!
Oto z jęczeniem śpiżu niemowlęta, dziatki,
Z rękami wzniesionemi, jako niegdyś w Sylo,
Jako w Ramie pod nożem wołają i kwilą:

Zlitujcie się nad nami! uchodźcie z kościoła!
O wy, dawczynie życia! oto już dokoła
Ogarnęła nas biéda, sieroctwo dopieka,
Zeschły ręce bez chléba, języki bez mléka.
A i matek dusza, jako ojców głucha:
Żadna dzieci nie słyszy, i dzwonów nie słucha.

Trzeci raz jeszcze śpiżu zajękły odgłosy,
Na was, na których leżą nasze przyszłe losy,
Tłumacze Boskiéj woli, którym jest otwarta
I przybycia naszego i odejścia karta.
Wy macie wiary oczy, lecz i wy z inszemi
Chociaż oczyma w niebie, lecz uszyma w ziemi.
Nie rozumiécie dzwonów, ni przeczucia głosu,
Błysnął ogień z świątyni, jak płomień ze stosu,
I nad całym we mgnieniu przeleciawszy gmachem,
Staje się gorejącém sklepieniem i dachem.

Nagle mężowie rykną, kobiéty zawyją,
Ich głosy aż o niebiós sklepy się obiją
I rozleją po ziemi z trzaskaniem pożaru.
Ale czy to moc cudu? czy jakiego czaru?
Dusi się lud zebrany i jak w piecu płonie,
I chociaż się nachyla ku wchodowéj stronie,
Ale każdy za progi wychylić się boi—
Jak wryty, jak zaklęty, goreje i stoi.

Jęczy tylko i ryczy, i zębami zgrzyta,
Za włos płonący ręką opaloną chwyta,
Język z bolu wywiesza, od spalenia brzęknie,
Wydmie się, zaczérwieni, jak balon rozpęknie.

A tylko jeden kapłan, padłszy na kolana,
Woła podniosłszy ręce: »dziej się wola Pana!
»Tyś, Panie, naszym Ojcem, Twa moc nami włada,
»A bez Twego wyroku włos z głowy nie spada.
»Ratuj nas, jeśli wola, ale my gotowi
»Uledz z pokorą świętą Twemu wyrokowi;
»Bośmy Twoi, bo wiémy, że umiérać trzeba."
To rzekł, a dusza jego uleciała w nieba.

Obok niego stojąca matka z dziećmi dwóma,
Jak gołąbka skrzydłami objąwszy rękoma,
Sama choć opalona, choć jéj członki płoną,
Chce jeszcze dla potomstwa swego być zasłoną.
Nad niemi się zawiesza, i tak Pana błaga:
»O Boże Daniela! Boże Abdenaga!
»Których nie dotknął pieca ognistego płomień,
»Spuść i na moje dziatki Twéj litości promień,
»Ocal je, a gdy trzeba, niechaj ginę jedna!"
Tutaj dech utraciła i upadła biedna,
A dzieci jękły: »Boże! Boże naszéj mamy!
Nie pragniemy już życia, niech przy niéj skonamy!"

I upadli oboje, a duszą anieli,
Razem z duszą matczyną w niebo ulecieli.

Mąż, zdrowia i urody i pełen żywota,
Którego szatą była niewinność i cnota,
Mógł się był uratować innych ugnieceniem;
Lecz się to nie zgadzało z wiarą i sumieniem,
Ni z miłością bliźniego, ni z miłością siebie—
A on w sobie czcić umiał obraz Boga w niebie;
A kto tak zna swą godność, ten się już nie splami
Egoizmem, podłością, ni innych względami;
Ten wyższy nad przygody, ze wzniesionem czołem,
Porównanie wytrzymać potrafi z aniołem.
Depcąc po brzytwach, żarach, jako tchnienie Boże,
Ni ogniem, ni żelazem zgięty być nie może.
Takim był ten mąż wielki, a przytém przy boku
Miał żonę paraliżem dotkniętą od roku;
I mógłże ją opuścić? choć ta przez zaklęcia,
Przez miłość zostałego w kolébce dziecięcia,
Błagała, by o swojém życiu miał staranie:
»Przy tobie boleśniejsze będzie me skonanie;
»Lecz gdy się ty ocalisz, to wyobrażenie
»Może bole umniejszy, ostudzi płomienie.
»Bez tego już ja dawno jestestwo grobowe,
»I życia i czułości mam tylko połowę;

»A i te w was obojgu.” Lecz próżne namowy—
Stał mąż w objęciach żony, jakby marmurowy;
I chociaż naokoło płomień go ogonił,
On ni jęku nie wydał, ni łzy nie uronił.

Ale inni, co mieli i serce i głowę,
I widoki światowe i żądze światowe,
Rządzeni ciekawością lub mody nałogiem,
W kościele, jak w teatrze rozprawiali z Bogiem;
Dla nich śmierć jest okropna: ziemni i cielcśni,
Prócz jęków, oni innéj nie umieją pieśni.
Dzisiaj ich sama boleść szalonemi czyni,
Złorzeczą sami sobie, Bogu i świątyni.
Oni sto śmierci jedną ponoszą pożogą,
Oni nawet przyszłością wesprzeć się nie mogą.

Chociaż wnętrze świątyni wielkie męki mieści,
I na cmentarzu nie mniéj żywéj jest boleści.
Tu, matka rozszlochana wywołuje dzieci,
Tam, druga gdyby lwica rozsrożona leci,
I do płomieni wrzących rzucić się gotowa;
Lecz jéj zapęd wstrzymuje kamienna budowa,
A rozpalona belka na jéj głowę pada;
Tu, mąż do swojéj żony oknem wnijścia bada,
Napróżno, nie da wejścia rozpalona krata,
Opalił ręce, głowę, i wpółmartwy zlata.

Przecze drzwi, mimo opór, jak Atlet do szranek,
Wciska się, chcąc kochankę ratować kochanek.
Stu drogę zatamował: do środka się wtłacza,
Dym się nad nim zakręca, płomień go otacza,
Już mu włosy się palą, już ręka się skwarzy,
Męczennik za kochankę, potępieniec z twarzy,
Ostatniém wysileniem zżyma się i zwija,
Sam płonący, nad głowy płonące się wzbija;
Tu przytomność i siłę w jednym czasie traci.
O! iluż to się łzami zgon jego opłaci!
W nim tracą jedynaka rodzice zgrzybiali;
Gdyby oni łzy wszystkie dziś skupić zdołali,
Które po nim wyleją do ostatniéj chwili,
Możeby łzami swemi ten pożar zgasili—
A teraz, chociaż płaczą, ale cóż wypłaczą?
Kości jego nie ujrzą, prochów nie obaczą.

Starzec od urodzenia ciemny i ubogi,
Którego kij i piesek przewodnikiem drogi,
Siedział prosząc jałmużny przy kościelnéj ścianie.
Kiedy usłyszał ludzi płonących wołanie,
Nie silił się uciekać: lecz w sumieniu zdrowy,
Do głównego Syonu wędrować gotowy,
Z radością podniósł ręce, stojąc na kolanie,
Wołał: »ducha mojego powracam Ci, Panie!

»Oto widzę już moja godzina dobija,
»Nie miałem nic na świecie, prócz pieska i kija,
»Oni mnie nieodstępne służyli na ziemi,
»I żal mój teraz cały pozostaje z niemi."
Nie skończył jeszcze mówić, gdy ogniem rumiany
Kamień ze szczytu wzniosłéj oderwany ściany,
Roztrzaskał głowę starca; a mozgi z posoką
Na stojących wokoło rozprysły szeroko:
Wszyscy się rozpierzchnęli, lecz pies nie ucieka,
Ten to wierny przyjaciel ubogiego człeka.

Ale któż pojedyncze przygody obwieści?
O! ileż to rodzajów kalectwa, boleści?
Starce leżą cegłami zranieni i zmięci,
Dzieci zdeptane krzyczą bez żadnéj pamięci,
Psy szczekają i wyją, chmura kruków lata,
Porynga jest istotnym dołem Jozafata—
Ileż to ludnych domów, życiem, zdrowiem silnych,
Dzisiaj postać przybrało tych świątyń mogilnych,
Które bez drzwi i okien zostając od wieka,
Są pomieszkaniem tworów straszących człowieka.
Ileż to rodzin wiejskich postradało głowy?
Ileż dziatek w kolébce bez sił i bez mowy,
Wołając czułych matek, łkaniami się dławi?
Ale próżne wołanie—matka się nie zjawi;

Leży ona swym własnym popiołem przysuta—
Tylko jej ręka ślubną obrączką okuta,
Poznana przez małżonka—jako jaka świętość,
Szanowana przez żarów niszczących zawziętość,
Niesiona przez sieroty, łzami męża zlana,
Rozrzewnia dom i blizkich od zmroku do rana.
Tylko tej drugiej szkielet poznany przez dzieci,
Po krzyżu, co jak gwiazda wśród popiołów świeci,
A na złotym łańcużku był na szyi mamy.
Szkielet ten, do ojczystéj już zawitał bramy,
I w samém swém nieszczęściu szczęśliwy widocznie,
W rodzinnym swoim grobie, przy rodzicach spocznie,
Wtenczas, gdy innych prochy jak z czasem dotleją,
Obce wody rozniosą i wiatry rozwieją.

Z wyroku Najwyższego, po obliczu świata
Ćma przygód, gdyby orłów bez końca przelata,
Wychudzone ich boki, rozszérzone dzioby,
Najludniejsze osady zamieniają w groby.
Do jakiejkolwiek ziemi ich skrzydło dosięże,
Miasta nikną jak plewy, jako liście męże.

Lecz prawa Opatrzności nic nie tracą na tém.
Ta ziemia dla człowieka jest nowicyatem,

Jak meteor znikomy, jak Porynga właśnie,
Maluczko zajaśnieje, maluczko zagaśnie.
Gdy na łonie wieczności Bóg Zbawiciel człeka
Z rozwartemi rękami nas wzywa, nas czeka,
Pośpieszajmyż co rychlej za jego wezwaniem,
Ucieszyć się widokiem, nasycić mieszkaniem,
Gdzie jest szczęście bez granic, gdzie uciech gromada,
Jakich zmysły nie pojmą, pojęcie nie zbada.
A jeżeli nad naszą pojawią się drogą
Powietrze, głód, lub wojna, lub potop z pożogą,
Niech się każdy o zbroję, jaką daje wiara,
Każdy o miłość Boską nadewszystko stara.
A wtenczas, żadną w świecie nie zgięty przygodą,
Nie strawiony pożarem, nie pożyty wodą,
Nie doścignióny skrzydłem głodu, ni morowém,
Będzie drugim Enochem, Eliaszem nowym.

Karol Chrzczonowicz.



Treny Poety (*).

(*Za młodu*).

I.

Jak straszne czucie być musi zgryzota!
Kiedy kto pomnik swéj hańby, lub zbrodni,
Zostawi w drodze swojego żywota:
A cień od niego — coraz większy z przodu,
W miarę jak życie idzie do zachodu—
Czerni się przed nim, jako szlak przewodni
W głąb nieskończonej ciemności!—
O jak to straszne być muszą męczarnie!

(*) Wiersz ten udzielony mam przez Autora przed miesiącami kilką. Już był w druku, gdy odebrawszy ostatni numer *Pielgrzyma*, znalazłem w nim cztery pierwsze treny wydrukowane.

Gdy już myśl sama, o próżnej przeszłości,
O latach strwonionych marnie,
Bez owocu dla kraju, dla świata, dla ludzi,
Skoro raz duszę ogarnie,
Tak ją przywala, i taki żal budzi!...

Ja — ja naprzykład! — dwadzieścia trzy lata
Żyłem, przeżyłem; — jakaż ich poszlaka?...
Jaka z nich korzyść dla ludzi, dla świata? —
Com zrobił więcej od nędznego ptaka,
Co wiosnę całą prześpiewał daremnie? —
Ach! ptak ten więcej uczynił ode mnie!
Ptak nócąc, spełnił cel swój na téj ziemi;
Ptak co mógł, zrobił pieśniami swojemi:
Był cząstką wiosny, — choć o nim nikt nie wié —
Jak zdrój w gęstwinie, jak wietrzyk na drzewie,
Był głosem swego drzewa, gaju, niwy; —
Kto wié, czy rolnik, pasterz lub myśliwy,
Pociechy kiedy nie miał w jego śpiewie?...

Ja sam — o! pomnę — i ileż to razy,
Gdym szedł dumając, posępny, osobny,
Zimny na wiosny, na kraju obrazy —
Nieraz w gęstwinie jakiś ptaszek drobny,
Albo skowronek zaśpiewał wysoko.
Zrazum nie słyszał — lub nie myśląc o tém,
Szedłem dumając; — ale potém, potém,

Gdy on wściąż śpiéwał i śpiéwał swe pieśni,
Nieraz ku niemu poszła myśl i oko,
I z samolubnéj wyrwawszy się cieśni,
Śledząc go w lesie, lub z nim lecąc w górę,
Ujrzałem piękną, żyjącą naturę;
Uczułem miłość Stwórcy:—i wracałem
Wesół, z nadzieją, z natchnieniem, z zapałem.—

A ja—ja człowiek!—ja, który od młodu,
W dumném mém sercu karmię chęci śmiałe,
Przyczynić dobra dla mego narodu,
I sam mu dając, wymódz na nim chwałę:
Com zrobił dotąd, z moją wiarą dumną,
W chęć moję silną, w myśl moję rozumną?—
Nic!—Cóż żem śpiéwał?—czyż choć jednę duszę,
Jak mnie ów ptaszek, pieśnią moją wzruszę?—
A to był przecież cel mój na téj ziemi;
Téj tylko władzy chciałem nad drugiemi.
Boże! Tyś widział, na com jéj chciał użyć,
Czy by nią słynąć, czy by Tobie służyć!—
Zkąd miłość pieśni, jeżeli nie z tego:
Że gdym sam naprzód poznał z pieśni cudzéj,
Wartość wielkiego, pięknego, dobrego,
Wszystko, czém człowiek wart Stwórcy swojego,
Chciałem, by z mojéj toż poczuli drudzy?—

Jeśli mię cel ten z lepszéj drogi złudził,
Jeśliś tu dla mnie cel zamierzył inny:
Wiém, jakbym zbłądził! — lecz błąd był niewinny—
Piérwéj niż wolę, w méj duszy dziecinnéj,
Duch pieśni,—ja myślałem, żeś Ty sam obudził!
Teraz w téj myśli jest moja katusza,
W niéj żyje dla mnie sęp Prometeusza.
Prometeusza!— obym mógł przewinić
Jak on!— dla świata, to co on uczynić!!—
Lecz widzieć całą wiosnę swego życia
Straconą bez pożytku, bez użycia;
Nic nie uczynić, i drżeć: czym nie winien,
Żem to chciał czynić, com nie był powinien!!..

Lecz czemuż dotąd, łamiąca się dusza,
Do innych celów naprożno się zmusza?
Czemu mój rozum, dręcząc mię, daremnie
Większą prac innych ważność wmawia we mnie?
Lub gdy już wszystko mgłą w duszy zamierzcha,
Czemuż znów dawna nadzieja młodzieńcza,
Ogniem przede mną zabłyska jak tęcza,
Albo ach! raczéj — czemu znów tak pierzcha?—

Obyż mi kiedy — niechby choć raz przecie,
Wcielić w pieśń całą blasków jéj potęgę,
I na mój naród rzucić ją jak wstęgę,
Jak ślad méj drogi po świecie!

II.

Jest-żem szaleniec?— Nieraz tak rozumiém,
Gdy sam swych myśli rozdrażniwszy roje,
Żądłom ich potém bronić się nie umiém,
Ani wiém wkońcu jak je zaspokoję.—
Cel znika z oczu, gdziem tylko co wprzódy
Chciał je był posłać:— by jak kwiat na łące,
Obsiadłszy razem, jak grono brzęczące,
Ssały zeń ludziom balsam albo miody:—
A mnie?—Ja innéj nie pragnę nagrody,
Jak żeby od nich mieć pokój sam w sobie;
Czuć się ich panem,— widzieć, że się we mnie
Własném mém życiem karmią nie daremnie,
I że coś przez nie dla mych bliźnich zrobię!—
—A brzęk ich tylko mnie samego głuszy;
A jad ich tylko czuję w mojéj duszy!

III.

Zwą mię Poetą!— o! gdyby zbadali,
Co ja natenczas czuję w serca głębi;
Jak mię wewnętrzny wstyd płomieniem pali,
I jak pogarda takich sędziów ziębi!—
Bluźnią!—ja życie dałbym za to imię,
Gdybym czuł prawo słusznie się niém zdobić;
Ale niém gardzę—jeśli w takim rymie,
Jak moje dotąd, można je zarobić.

Mnie zwać poetą!—nie z tego, co może
Tleje w méj duszy, dotąd tajne światu:
Lecz z owych pieśni, co jak liście z kwiatu,
Z płonnego kwiatu, opadły nie w porze!—
Ślepi pochwalcy! toć gdy wam dość na tém
Com ja napisał,—ach! czyż warto pracy,
By stać się kiedyś, czém chciałbym, przed światem,
Gdy wyrok o tém dawać mają tacy?—
Wartoż chcieć chwały, gdy lada pochwała,
Byle z ust wielu, już ma zwać się: chwała?
Czczy brzęk owadów, co póki zdaleka,
Nadziemskim chorem nęci słuch człowieka,
Brzmiąc na powietrzu;—jakże się zawstydzi,
Kto przyjdzie zbliska i chórzystów widzi!
Cóż gdy go wzajem otoczy gromada?—
Owad gdy brzęczy, znak jest, że ujada:
Brzęk straci wartość, żądło ból obudzi:
Oto jest sława, i z nią zawiść ludzi!

O! szczęście moje! żem nim to, już wcześniéj
Pojął cel wyższy i wieszcza, i pieśni,
By czuć, że kto go osiągnie, wypłaci
Wszystko, co winien dla ojca i braci.
Bo nie osiągnie, aż wprzód sam usłucha,
Aż znajdzie w sobie głos Prawdy i Ducha;

Wtedy tym głosem gdy powie do ludzi,
Ileż dusz ze snu na światło obudzi?—
Cóż Ty większego chcesz po ludziach, Boże?
Cóż człowiek nad to bliźnim zrobić może?—

To cel Poety!—to mój—czy mu zdoła
Moc moja?—nie wiém;—lecz ach!gdybym wiedział!
Gdyby mi w duszy głos mego Anioła,
Lub wielki człowiek na ziemi powiedział!..
Ma pieśni moje:—drobne nakształt piasku,
Lecz Mistrz z nich nawet wartość przyszłych zgadnie;
Jak biegły górnik, z piérwszych żwirów blasku,
Wie, w któréj minie złoto leży na dnie.

IV.

Oby mi dano moc twórczego głosu,
Na jednę chwilę, i na jedno słowo!
Bym do mych uczuć i myśli chaosu
Mógł wyrzec: «stań się!” czynem, pieśnią, mową,
Czém bądź— lecz stań się!—bym spoczął--bo muszę...
Jak łuk przed strzałem czuję w sobie duszę:
Grot musi wypaść—lub cięciwę spęka;
Grot musi trafić—lub na wieki ręka
Martwém zostanie narzędziem, straciwszy
Wiarę swą w siebie.—A toż spocząć znaczy,

Gdy kto moc wszystkę próżno wytężywszy,
Padnie na ziemię w mdłości i rozpaczy;
I gdybyż umarł!—lecz ach! nieszczęśliwszy,
Życia się tylko niewartym zobaczy?—

Taki spoczynek miał Szatan w otchłani.
I dobrze, jeśli temu człowiekowi,
Szatan, na boleść co go wewnątrz rani,
Téj, co sam sobie, pociechy nie wmówi:
Pogardzić dobrém, co go nie mógł dostać;
Czynić złe raczéj—by niczém nie zostać!

Ciebie chcę, niebios rozkoszy, spoczynku!
Którego tylko Bóg w pełni doświadczył,
Gdy świat swój stworzył, i w swoim uczynku
Sam doskonałość zupełną obaczył!
Spoczynku mędrca, poety, malarza:
Gdy duchem z góry, czyn swéj woli stwarza,
Lub już w żyjącém lubując się dziele,
W niém moc swą czuje, a w sobie wesele!

Bo duch tworzący w napowietrznéj sferze,
Jak głodny orzeł, dwie tylko ma chwile,
Gdzie spocząć może:—gdy cel swój postrzeże,
I wisząc nad nim ufa swojéj sile;
Potém, gdy spadnie jak grom, i oczyma
Ocenia zdobycz, co już w szponach trzyma.—

XV.

(w lat dziesięć po pierwszych).

Czemu nie piszę? Czcze na pozór słowo,
Co ktoś przez grzeczność rzuci od niechcenia:
Ale nikt nie wie, jak ono na nowo,
I jakie budzi cierpienia.

Dusza niém zda się z letargu wyrwana,
Sama go w sobie wstydzi się jak zbrodni;
Jak ta niewiasta, co na przyjście Pana
Swéj nie zatliła pochodni.

Tożem ja sobie rokował za młodu,
Że kiedyś w pełni siły méj, usłyszę
Z ust mych przyjaciół i mego narodu,
Pytanie: czemu nie piszę?

Ja, co natenczas w kole życia całém,
Innego celu, i życia podniety,
Ani widziałem, ni szukać nie chciałem,
Jak pieśń i chwała poety.

I czułem w sobie moc czucia tajemną,
Że, jak śpiącemu pod paproci kwiatem,
Cała natura gadała przede mną,
Com ja miał w pieśni przed światem.

I tak wierzyłem, że sam Bóg wysłucha
Prośb mych o pomoc, w chwilach uniesienia:
Że nieraz drżący nastawiałem ucha,
Jak na głos Jego natchnienia.

Lecz mojaż wina? żem zadrżał, niestety!
Z przykładu drugich, widząc co mię czeka;
Żem nie mógł w sobie, dla sławy poety,
Poniżyć dumy człowieka?

Abym to tylko śpiewając, co Bogu,
Co bliźnim moim, czułbym żem jest dłużny,
Sam, jak ów śpiewak przy kościelnym progu,
Żył chyba z cudzej jałmużny;

Lub się zaparłszy prawdy i sumienia,
Sługa próżności, fałszu lub zepsucia,
W potwornych baśniach, w obrazach zgorszenia
Żebrał u zgrai współczucia.—

O nie!—A pomnę, gdy nakształt ofiary,
Paląc się w sercu miłością dla ludzi,
Sypałem w słowach myśli moich żary:
Pewny, że słowo miłości i wiary,
Miłość i wiarę obudzi;

Cożem obaczył?— czy łzę rozrzewnienia,
Iskrę zapału, czy szyderstwo w oku?
Cożem posłyszał?— czy szmer poruszenia
Uczuć słuchaczów, czy głos współmyślenia,
Czy szept obmowy na boku?

Patrzali na mnie ściskając ramiony,
Lub drażnić chcieli słowy nieszczeremi,
Bym jako kuglarz, w pole wywiedziony,
Popisywał się przed niemi.

Pojąłem zamiar, i zamilkłem z trwogą....
Gdy żywych uczuć nikt nie chciał podzielać,
Gdym żywém słowem nie wzruszył nikogo,
Mamże je w sztuczną pieśń wcielać?

Natchnienie tylko z czucia Prawdy płynie,
Ale współczucie jest pieśni podnietą;
Gdzie tego nie ma:—nie w słowach, lecz w czynie
Trzeba być tylko poetą.

A. E. O.

Chrześcijanka.

Wyjątek.

„I jest u niéj pismo w twarzy."
Krzyż w Peredylu.

I jest u niéj pismo w twarzy,
Które anioł dłonią białą,
Gdy się Słowo ciałem stało,
W duszę wpisał. — U ołtarzy,
Wszystkich myśli jéj i serca
Rosło pismo to anioła,
Tak jak rośnie pismo maju,
Śród zielonych łąk kobierca;
Tak jak szczęście rośnie w raju;

Tak rosło pismo anioła,
I rozkwitło u jéj czoła,
I rozkwitło u jéj źrenic!...

Spójrzał w oczy jéj młodzieniec—
Dziedzic jasnych rodów, cnoty,
Z ócz jéj—w pierś mu wpadły groty,
Z ócz anielskie pismo czytał;
Pismo z nieba—okiem chwytał;
Chwytał duszą—pismo z oczu—
I w jego duszy przezroczu,
Oczy jéj gwiazdą świéciły—
»Ach! mnie słowo twe, mogiły
Albo nieba przepowiednią.”—
Rzekł—i błagał, i padł przed nią—
»I to wszystko co mam z sobą,
»I to wszystko co mam w sobie,
»Imię, co przodków ozdobą,
»Serce, życie oddam tobie,
»Rozjaśń dni mych barwę ciemną,
»Chodź—dziel życie, serce ze mną.”—

I w jéj serce anioł dłonią
Jeszcze jedno słowo wpisał—
Orszak marzeń ją kołysał,
Miłość błysła nad jéj skronią!

I anielskich tonów dźwięki
Grały na sercu dziewicy,
I błysło z uczuć jutrzenki
Słońce miłości w źrenicy!

I rzekł anioł: «Ten dla Ciebie!"
I wnet drużki, przyjaciele
Myrtu gałąź na wesele
Rwą dla młodych i dla siebie.—

Na jéj serce anioł dłonią
Jeszcze jedno słowo wpisał,
Miłość matki!—nad jéj skronią
Nowych uczuć czar kołysał!

—I błyszczała zorza błoga
Na chwil tkanych rajskim wątkiem,
I u łona z niemowlątkiem
Szczęście swoje—datek Boga,
Szczęście swego męża, dziecka,
W niebo słała modlitwami,
Rosą wiary, uczuć—łzami!

O! szczęść ludzkich nić zdradziecka!
To jak człowiek skarga stara!
Dziś nić złota—jutro szara—
Rdzą łez, bolów pordzewiona
I pordzewi pokój łona!—

Czy widziałeś wzrok niewieści,
Gdy co chwila w bolach kona,
A żal wbije nóż boleści
W samo serce — i zadławi
Za raz, oddech, łzy i mowę,
I gdy do ciosu przyprawi
Kochanego trupią głowę,
I w kochanych rysów larwie
Zamknie postać w trupiej barwie,
I umieści pod źrenicą,
Tak jak obraz po nad świécą.—
O! nie gryzą żmije wściekléj,
Ani więcéj boli w piekle,
Jak nowina, że nie żyje
Ten, za którym goni oko,
Dla którego pierś głęboko
W głębi łona oddech bodzie,
Dla którego oczy — łodzie
Płyną w morzu łez!..

Jest-li na ziemi kres,
Kędy się wszystko przesili
W życiu człowieka — w pół chwili
W wieczności bolów i łez?

Ach! łzę starą — tylko nowa
Zmywa w ludzkiém życiu łza;

A pieśń bolów — pieśń grobowa,
Co już martwym cieniom grał! —

Czemu, gdy piękność — jak kwiaty
Wiosna — zasiawszy jej skronie,
A w serce cnota, bogaty
Plon rzuciwszy — który w łonie
Jej dójrzał — patrzą spokojnie,
Jak ona niewdzięczna — hojnie
Dane skarby, poniewiera —
Czemu tak zimno spoziera
Na tych wszystkich, których oko,
Wsiękając światła promienie,
Co od niej płyną — i głęboko
W pierś kryjąc — płomienie
Ogniów rozżarzają w łonie. —
Czemu ona na swe skronie
Nie włoży nowéj gałązki
Myrtu? — czyli obowiązki
Życia jéj, są za granicą
Ziemi — czy raz dłoń związana
Węzłem stuły i pierścienia,
I przysięgi obietnicą
Zaślubowanéj jednemu,
Stała się ziemi poddana,
I już własnością podziemu,

A na ziemi widmem cienia,
Od chwili, gdy zapłakana
Stanęła nad grobem męża,
I do niegoż wzrok wytęża,
I do niegoż szle westchnienia,
I na nowe śluby czeka,
Które tylko śmierć dać może,
I w małżeńskie żwiru łoże
Złączy w trumnie na wiek, wieka?
. . . .

W samym rozkwicie jéj łono,
Najcudowniejszą młodości
Gwiazdę — miłość obleczoną
Chmur całunami ujrzało,
Oko dużo wypłakało!

Lecz anioł łzy jéj ocierał
Skrzydłem wiary — i pozbierał
Wszystkie łzy jéj — i jéj łzami
Po jéj sercu cudnie pisał!
I jéj boleść ukołysał
Wpisanemi łzą myślami!
A myśl każdą rozpromienił
Jak łzę oka — rosę kwiatów,
Gdy z jutrzni wielkich dwóch światów,

Czy to uczucia, czy słońca
Wpadnie promień w kwiat lub oko,
I rozszérzy blask széroko,
Tak myśl każdą rozpromienił,
Każdą łzę w uczucie zmienił,
I przystroił w barwę jasną.
Ach więc łzy jéj już nie zgasną,
Bo jéj łzy jak wieńce rosy
Obwiały uczuć jéj kwiaty,
Jak w kwiecie słońca szkarłaty,
Tak w jéj sercu bliźnich losy
Znajdują swoje odbicie,
Życiem drugich jest jéj życie.—

W. Edward Żeligowski.

Wiara.

Boże! ja wierzę, ja wiary ramiona
Wyciągnąłem nad zenit mojego myślenia,
Spójrzałem!— tysiąc światów śród niebios sklepienia,
Spójrzałem!—tysiąc światów w głębi mego łona.—
Kto te światy rozrzucił na niebieskie stropy,
Kto drugie światy uczuć wlał w człowieka dziecię?
Mędrcy! wy tam patrzycie przez szkieł teleskopy,
Kto i jak je rozrzucił, czy wy o tém wiecie?
Wy myśli, uczuć fibry, jak botanik kwiaty
Rozbiéracie, zowiecie—a czy znacie ręce,

Co w glinie takie ducha zbudowały światy,
Które w zdobiące ludzkość przybrały się wieńce!
Mędrcy! ja was zapytam w imie prawdy świętej,
I cóż wy więcej wiecie o tej niepojętej
Istocie, niżli rolnik, co prostą modlitwą
Chwali ją — albo żołnierz, który jej przed bitwą
Duszę poleca . . . .
Lub więzień, lub sierota, któremu w puściźnie
Świeże się tylko ojców zostały mogiły
I bezsilność — a ustom ledwo modlić siły.
O sieroty, o więźnie, rolnicy, żołnierze!
Te łzy wiary, nadziei, co wam oko roni,
Zmieni anioł na perły tryumfu dla skroni,
I tam w wieczną was szczęścia koronę ubierze!..

W. Edward Żeligowski.



Zgadzanie się z wolą Boską.

Kiedy ci chmury nad głową się zbiorą,
Żal serce ściśnie i łza w oczach stanie;
Uklęknij, módl się, i wołaj z pokorą:
»Niech Twoja święta będzie wola, Panie!”

Gdy przyjdzie spełnić kielich utrapienia,
A i zapłakać nawet nie pozwolą;
Łzy połykając i tłumiąc westchnienia,
Patrz jak się Chrystus zgadzał z Ojca wolą.

Kiedy cię długa z nóg zwali choroba,
Gdy cię ostatnia dociśnie potrzeba,
I dotkną wszystkie cierpienia Hioba;
Nieś krzyż swój, mówiąc: «dziej się wola Nieba!”

Kiedy w dłoń matki podając gromnicę,
Biedne sieroty otoczycie łoże;
Módlcie się patrząc na Boga-Rodzicę,
I mówcie: »dziéj się wola Twoja Boże!"

Gdy ci powięǳną wszystkie życia kwiaty,
Gdy całą w grobie zagrzebiesz nadzieję;
Wznieś duszę w niebo płacząc drogiéj straty,
I wołaj: »niech się wola Twoja dzieje!"

I gdy już zniskąd nie będzie pociechy,
Gdy w ciągłéj walce i sił ci nie stanie;
Proś, by te krzyże Bóg przyjął za grzechy,
I mów: »niech Twoja będzie wola, Panie!"

A. S. Krasiński.



P R O Z A.

Idea życia.

Wyjątek z Rozprawy Konkursowej Józefa G.......

Ile razy wspominam ideę życia, zdumiewam się nad wielkiém jej znaczeniem. Staje mi na umyśle ta pełność, ta wielkość i szczytność, która ją znamionuje, i świętém jestem przejęty uszanowaniem. Życie uwięzione w martwej massie jestestw nieorganicznych, jest dopiéro głębokiém dumaniem natury nad sobą samą; w roślinach już się jako tęsknienie do światła rozwija, a w zwierzętach na

wyższym postawione szczeblu, głębszego znaczenia nabiéra. Cóż dopiéro w człowieku, w którym natura najskrytsze swoje myśli, największe swoje zamiary odkryła, któremu najgorętsze swoje życzenia powierzyła?

Wpływ nauk na życie jest najszczytniejszą ich stroną, i w rzeczy samej nauki o tyle tylko mają znaczenia, o ile się przyczyniają do podniesienia życia na wyższy szczebel, do zaspokojenia wyższych jego potrzeb. Lecz przypuszczając to samo przez się jasne twierdzenie, strzeżmy się ciasném i gminném wyobrażeniem o życiu, głębokie znaczenie nauk ograniczać, i jak to częstokroć się dzieje, to, co jest prawdziwym tryumfem, najwyższą potęgą istnienia ludzkiego, jako czcze i niepotrzebne marzenia, od siebie odpychać. Daleki jestem od naganiania wszystkich tych, którzy z nauk sposobu do życia szukają; jestem raczej głęboko przekonany, iż od zapewnionego bytu fizycznego ledwo nie całe rozwinięcie bytu moralnego zawisło. Człowiek skazany na ubieganie się za

zaspokojeniem piérwszych potrzeb, w ciągłéj walce o utrzymanie fizycznéj tylko exystencyi, nie może zwyciężyć ciasnych granic zwierzęcego życia i wznieść się do prawdziwie ludzkiego. Nędza jest grobem wszystkich wielkich myśli, i chyba ten jéj tylko oprzeć się zdoła, który w stanie zupełnego już wykształcenia przez nią został przyciśniony. Napadająca zaś na latorośl rodu ludzkiego, staje się śmiertelnym dla niéj ciosem, i jak dreszcz przedwczesny w wiosennéj porze wszystkie nadzieje w samym zarodzie niszczy. Takie są jéj skutki na indywiduach, takie na całych narodach. Dla tego to ważnym jest przedmiotem zatrudnień ludzkich nagromadzić środki, za pomocą którychby życie z pod panowania massy uwolnione pięknie zakwitnąć i niebiańskie owoce wydać mogło. I z tych powodów przykładanie się do nauk, końcem, że właściwego użyję wyrazu, spieniężenia onychże, samo przez się nic z rozumem i godnością człowieka nic zawiera sprzecznego. Lecz zwiędniałe tylko umysły,

7*

śmiało to wyrzekam, zwiędniałe tylko umysły na czerpaniu doczesnych tylko korzyści z nauk przestawają. Zyski duczesne nie są nigdy zdolne zaspokoić człowieka do czegoś wyższego obudzonego. W nim twórcza ręka coś szlachetniejszego ukryła, jak tylko żądzę zaspokojenia gminnych potrzeb.

Młodzieniec po długim śnie dziecinności występuje na wielką scenę życia, tak, jak jutrzenka po ciemnéj nocy wschodzi na purpurowym horyzoncie. Obudzony z głębokiego letargu czuje się do nieskończoności być pędzonym. Widzi przed sobą świat w głębokiém swojém znaczeniu się rozwijający i opuszcza ciasny zakrés dziecinności, który dotąd jego był kolébką. Już mu dom ojcowski nie starczy, już mu nie dosyć swojéj tylko rodziny być podporą, już nie może na jéj łonie nieczynnie spoczywać. Coś wyższego silniéj pulsami jego życia rusza. Jakaś potajemna go siła pędzi w nieskończony odmęt. Czuje się być członkiem większéj rodziny, już i ojczyzna praw macierzyńskich do jego

serca nabywa. Los jej równie go jak i jego własny obchodzi. Karmiony bohaterskim pokarmem Greków i Rzymian, wychowany w gronie Miłcyadów, Leonidów, Arystydów, Fabrycyuszów, Katonów, żywiony szczytnemi uczuciami, jakie rozważne czytanie dziejów w młodocianym umyśle wznieca, pragnie sam wydać to wielkie życie, którego w historyi był tylko widzem. Wszystko, co go otacza, do czegoś wyższego go podnieca; rozszérza się okrąg myśli, rozszérza się serce jego, i już niém więcéj jak siebie samego obejmuje. Zbawienne przedsięwzięcia jego umysł zajmują, a chęć wypiętnowania w czynach tego, co mu pierś ożywia, coraz bardziéj się wzmaga.

Ten, w którym na widok wielkich tworów natury, na widok świetnych czynów w historyi, nic więcéj się nie obudza, jak tylko myśl wyrobnika, myśl wyżywienia siebie, ten zaiste opłakania jest godnym. Tłumy ludzi na nizkich bardzo rzeczach przestają. Ich dążność daléj nie sięga, jak tylko do za-

pewnienia sobie bytu swobodnego, zrobienia majątku i spokojnego onegoż używania. Dusza ich w drobnościach mieszka, i całe ich staranie obrębu własnéj rodziny ich nie przechodzi. Zresztą obojętni na wszystko, co się obok nich dzieje, przechodzą przez życie, jak cienie nie zostawujące śladu.

Im częściéj młodzież spotyka w świecie umysły skośniałe, dla których nic nie ma wielkiego, nic świętego, tém staranniéj powinna wyższemi wyobrażeniami i lepszemi uczuciami być karmiona.

Reflexya i Wiara.

Z TEJŻE ROZPRAWY.

Nie wszystko w filozofii na rozumowaniu się opiera, trzeba też coś i wierze zostawić. Nie wszędzie się człowiekowi z swoją ciekawością wciskać należy; do świątyni, w której najświętsze się ukrywają tajemnice, z najgłębszém tylko uszanowaniem zbliżać się powinien, nie zaś z tą zbrodniczą śmiałością, która wszystko pod swój sąd podciąga. Nieśmiertelną zasługę *Kant* w tém sobie zjednał, iż uzurpacye reflexyi z krainy ideów na za-

wsze usunął, iż dobitnie przekonał, jak ona najmniejszego nie ma znaczenia w sądzeniu o wiecznych przedmiotach, to jest, tam, gdzie nie idzie o uchwycenie powierzchownéj postaci, wzajemnych stosunków, w jakich jedne od drugich znajdować się mogą: lecz o zgłębienie prawdziwego ich bytu i wyśledzenie wiecznéj ich istoty.

Cóż bowiem jest reflexya? jeżeli nie odskakiwaniem umysłu od jednego przedmiotu do drugiego, jeżeli nie oscyllacyą między dwóma przeciwnościami. Ona nam nic nie ukazuje, jak tylko to powszechne ważenie się rzeczy; wszystko, czego nas naucza, niczém inném nie jest, jak tylko rozwiązaniem zrównania, gdzie niewiadoma przez wszystkie inne wiadome jest oznaczona; jest to tylko tłumaczenie jednego przez drugie; jest to prostszy lub zawilszy rachunek, lecz nic więcéj jak tylko rachunek, którym prócz wyobrażeń względnych nic uchwycić nie zdołamy. Częste, mówię, niezliczone są takie przypadki, gdzie nam tylko o wyśledzenie

względności idzie, w tych reflexya zaspokoić nas jest zdolna. Dalecy jesteśmy od poniżenia téj znakomitéj władzy duszy naszéj; owszem przyznać musimy, iż w obszérnéj sferze ludzkich zatrudnień wielkie jest jéj znaczenie. Znaczna część życia naszego, nie przechodząc natury rachunku, jéj podpada panowaniu. W naukach zbawiennego jéj wpływu ocenić nawet niepodobna; niektóre zupełnie przez nią są stworzone; drugie, lubo z innego wynikają źródła, po części na jéj zachodzą pole, a wszystkie jéj pomocy potrzebują. Jeżeli atoli umysł, bądź to że takie jego jest przyrodzenie, bądź to w dalszém władz jego rozwinięciu, czuje się być uniesionym do sfery, wszelką względność, wszelki rachunek przechodzącéj, jeżeli zbliża się do tego, co jest najwyższém i najszczytniejszém: wówczas nic nie ma szkodliwszego, jak ze stanowiska jeszcze reflexyjnego patrzeć się na to wszystko, i to czczemi formułami chwytać, co głębokości serca powierzone zostało.

Jakiemiż to uczuciami przejmuje nas widok natury, kiedy w chwilach natchnienia rzucamy się na jéj łono. Każdy krok— niegdyś bez myśli po téj ziemi czyniony, teraz zadumieniem oznaczamy. Wszystko życia nabiéra, nawet kamień pod naszemi stopami. Duch jakiś potajemny do duszy naszéj przemawia. Co się to w piersi naszéj dzieje, kiedy patrzymy na owe źwierzęta niebieskie, od wieków po firmamencie krążące, które nieme, sławę atoli Najwyższego głoszą; kiedy patrzymy na owe niezliczone światy, po nieskończonéj przestrzeni Wszechmocnego ręką rozsiane, tą opiekuńczą ręką, która i nas na téj wielkiéj scenie postawiła; kiedy widzimy jak niepojęta jakaś siła wszystko pędzi, światy rodzi i niezliczonemi stworzeniami je zaludnia, kiedy wśród wrzawy zewnętrznéj daje się nam słyszeć wieczna harmonia. Co to wtenczas czujemy, kiedy przejęci moralném człowieka przeznaczeniem, przejęci nieskończoną jego godnością, widzimy tłumy ludów ołtarze boskie otaczających, i gorące modły do

Rządcy świata przesyłających. W tych to i podobnych położeniach życie nasze nieskończoném się staje. Najpiękniejsze nam się widoki otwierają. Najsłodsze nadzieje nas pokrzepiają. Wyjaśnia się horyzont. Co nam dawniej było wątpliwém, teraz w pewność przechodzi; czujemy się być nieśmiertelnymi, przekonani jesteśmy o Bogu, i jasno stoją przed naszemi oczyma najwyższe przedmioty.

W cóż się nam obrócą te święte natchnienia, jeżeli je poddamy pod brzytwę reflexyi, w téj dobréj wierze, ażeby nas przez rozbiór tém lepiéj jeszcze z niemi oswoiła.

Ta sama natura, która niedawno tak zrozumiale do nas przemawiała, któréj pełność nasze pełniejszém czyniła życie, na któréj łonie znaleźliśmy zmocnienie i pociechę, wyzionie ducha podczas téj operacyi. Zginie jedność, i świat nam się na drobne rozleci kawałki. Będziemy błądzić po powierzchni, oko nasze wzrok straci, zewnętrzną tylko skorupę ujrzymy, głębiej nie przenikniemy, zrobi nam się wszystko nieprzezroczystém, i co

nam dawniej tak jasném było, teraz nieprzebitą zaćmi się ciemnością. Te piękne twory, z któremiśmy jako ze spokrewnionemi rozmawiali, nie poznają nas teraz, życie się od nich usunie, a wszędzie, gdzieśmy dawniej widzieli kolebki, groby nam się teraz otworzą. Na ołtarzach osiądzie wątpliwość, nieskończona czczość cały świat opanuje, a zewsząd stanie się głos: śmierć, śmierć, śmierć!

Nadzieja ulegnie niepewności, przyszłość czarnym kirem się okryje, a obawa wszystko przytłumi.

Takie będą nieszczęśliwe skutki reflexyi, tam przeniesionej, gdzie nigdy postać niepowinna. Nadaremnie ona potém usiłować będzie, to dowodami zwabić, co swém postępowaniem odstraszyła; nadaremnie wychwalać moralność, religią; nadaremnie przyrzekać nieśmiertelność; nadaremnie zewnętrznym węzłem przywracać naturze jedność. Nie zdoła tém wszystkiem klęsk zadanych naprawić; ostygł bowiem entuzyazm, uczucie zamieniło

się w martwą cyfrę; natchnienie stało się przedmiotem rachunku, i wątpliwość nieustannie dogryza. Życie w samym zarodzie zostało zatrute; dowody wydają się jak owe pociechy wymuszone, lub owe lekarstwa usypiające podczas okropnych bolów. Pochwały moralności, religii zdają się także nieszczére, i dla tego tylko powtarzane, że inaczéj wielkieby na ludzkość spłynęły szkody. Ożywianie natury jest nadaremne; można wprawdzie, kiedy się duch od ciała odłączył, mechanicznie różne zewnętrzne życia zjawiska otrzymać, lecz nigdy prawdziwego życia napowrót przywołać.

Nie subtelne to rozumowania są szczytem filozofii, lecz postępowanie cnotliwe. Przeświadczenie o własnéj moralności jest najwyższém światłem na ciemnym horyzoncie naszéj ze wszech stron przyciśniętéj duszy; wschodzi ono jak słońce po ciemnéj nocy z zaburzonego oceanu uczuć i namiętności człowieka i przyświéca mu pokrzepiającém światłem. Moralność mu się to staje gwia-

zdą polarną w zawiłym labiryncie doczesnego życia; ona mu jest ostatnią podporą w nieszczęściach, która go wspiera, kiedy go wszystko opuszcza. Częste są chwile, w których człowiek potrzebuje ratunku; często się jego serce zakrwawi, często smutek jego czoło marszczy.

Natura żadnej nad nim nie ma litości. Obdarzyła go wprawdzie hojnemi darami, lecz już go wysławszy na świat z swojego łona, zdaje się jakoby go zupełnie opuściła i najmniejszego już o nim nie miała starania. Obojętną jest na jego cierpienia, nieczuła na łzy, które boleść mu wyciska; żałośnych jego westchnień nie słyszy, na przerażające jego żale głębokiém tylko odpowiada milczeniem. Skazany na wieczną walkę, pasuje się ze wszystkiém co go otacza. Zdobyć dopiero musi na nieczułej ziemi, co mu do życia jest najpotrzebniejszém; ciało swoje bronić musi przeciwko napaściom nieprzyjaznych elementów; a nawet i dusza z różnych stron uwikłana w ogólny proces materyi, częstokroć

jęczy pod ciężarem massy, i marnie w niéj ginie. Usiłuje umysł unieść się do wyższéj sfery istnienia, lecz cetnarowe ciężary, które mu są zawieszone, nieustannie go na dół ciągną. Wydała natura w ciele ludzkiém wzór najdoskonalszéj organizacyi i ukryła w niém pierwiastki nieskończoności; lecz otoczyła go zarazem okrutnemi boleściami, wysłała naprzeciw niego grono niezliczonych chorób, które to życie najokropniejszą częstokroć mu czynią męczarnią. Utopiła w jego sercu żądło szczęśliwości, które go nieustannie bodzie, i dozwala mu nawet w rzadkich chwilach być uczestnikiem najwyższéj exstazyi; dozwala mu skosztować owéj nieskończonéj pełności życia; ale to wszystko jedynie dla tego, ażeby się tém większa przed nim utworzyła próżnia, i ażeby ból następujący tém bardziéj dakuczał. Po krótkiéj radości długi idzie smutek, i życie człowieka jest prawie ciągłą melancholią, żałośném dumaniem nad okrutném przeznaczeniem. Natęża on wszystkie swoje siły, ażeby sobie wybu-

8*

dować jakieś schronienie; pracuje nieustannie nad zapewnieniem bytu swobodnego, i zgromadza środki do uskutecznienia najzbawienniejszych zamiarów; lecz nieprzyjazne mocarstwa ciągle mu stawają na przeszkodzie, i nieprzebyte mu kładą tamy. Jedna chwila kilkuletnich prac jego owoce niszczy.

Tak to życie ludzkie zazwyczaj jest pasmem samych nieszczęść, w które natura dla tego tylko, jak się zdaje, przyjemne wplotła zdarzenia, ażeby chęć utrzymania onegoż przytłumioną nie została. Zresztą postępuje ona odwiecznym swym krokiem, do swoich tylko celów dąży; na inne jest obojętną. Nic ją nie zdoła rozczulić, dla niéj nic nie ma drogiego; i kiedy całe życie człowieka goryczą napełniła z zimną krwią, własną ręką grób mu ściele. Z nieczułą obojętnością własne dziecię pożéra, i tem swojém okrucieństwem, pozostającym jeszcze śmiertelne zadaje razy.

Te i podobne uwagi zdają się do rozpaczy prowadzić, lecz z drugiéj strony jest nam sowita zachowana pociecha, gdy w siebie sa-

mych wstępujemy. Jest coś w człowieku, co go nad wszystko unosi. Znaczna część życia jego stoi pod prawami konieczności, i sam wątek onegoż bez jego przyczynienia się został mu nadany; lecz skoro tylko do pewnego stopnia rozwinięcia dójdzie, widzi się być usamowolnionym, widzi się być wolnym, i czuje w sobie moc poczęcia sam z siebie odrębnie od natury, własnego porządku rzeczy.

W zadumienie nas wprawia piękność i rozmaitość niezliczonych tworów, które nas otaczają, lecz z drugiej strony i człowiek w czynach moralnych, w czynach wielkich i świetnych równą nieskończoność objawia, która na równe, a nawet na większe zasługuje uwielbienie. Ta własność noszenia w sobie przepisów moralnych; ta własność tworzenia sobie wiecznych celów i dążenia do onych; ta wola, której nic złamać nie potrafi, jeżeli nie my sami; ta bezwarunkowa godność, która żadną ceną zastąpiona być nie może; zgoła ta moralność, ta naszym jest

tryumfem. Ta nas czyni wyższymi nad wszystko, co nas otacza, skoro się tylko do niéj uciekamy, żadne nieszczęście nas zwyciężyć, nic nas zniszczyć nie zdoła; owe przeciwności, które do rozpaczy prowadzić się zdawały, poprowadzą właśnie do szczytu wielkości. Otoczyła wprawdzie natura życie człowieka zewsząd okropnościami; otoczyła go żalem i obawą, płaczem i rozpaczą, cierpieniem i śmiercią: lecz zostawione mu jest, urodzić się sam z siebie do innego, do nieskończonego życia, być nietylko płodem sił potajemnie działających, ale i tworem własnych swych czynów, nie zostawać tam, gdzie go natura wysadziła, lecz unieść się do niedościgłéj wysokości.

Wielka jest siła nieprzyjaznego losu, który nieubłagany czuwa na zgubę najcnotliwszych ludzi; wywiera on najokropniejsze męczarnie na tych, których kroki sprawiedliwością są oznaczone; wszystkie piekielne mocarstwa przeciw nim pobudza. Oni zaś niezłamani stoją, śmiało podają pierś na wszystkie ciosy,

a czując w sobie siłę, nad którą wyższéj cała natura nie ma, są spokojni wśród straszliwéj burzy. Utraciwszy wszystko, co gmin za najwyższe uważa dobro, spokojności nie tracą: bo w uczuciu własnéj moralności skarb najdroższy posiadają, a przez zapatrywanie się na wieczne przedmioty, siły nad wszelkie losu zamachy wyższéj nabywają. Czynią nawet z życia ofiarę, i oddając ciało na pastwę nieszczęściu, a na opłakanie współbraciom, z zachwyceniem ducha do nieśmiertelności unoszą.

Takie to wielkie charaktery wydała historya, ażeby, jak owe rzadkie meteory, przyświecały naszemu częstokroć w nikczemnościach zagubionemu życiu, ażeby nas nauczały mężnie walczyć z losem i dały nam uczuć szczytność poświęcenia się dla wysokich celów! — Człowiek dla przemijających tylko stosunków, w których zostaje, ginie; lecz względnie wiecznego swego przeznaczenia nigdy zginąć nie może.

Życie nasze po większéj części stało się tar-

giem; za każdy czyn chcielibyśmy zapłaty, i bezinteressowność nam się prawie obcą stała. Przez ubieganie się za drobnościami zgubiliśmy z oka najwyższe przedmioty, utraciliśmy dziedzinę ideów, tych to jedynych sprężyn bytu ludzkiego: na to miejsce nieskończona czczość reflexyi opanowała nasze umysły; wszystkie nasze działania stały się rachunkiem, a my sami chodzącą formułą.—

Tém potrzebniejszą więc jest rzeczą napominać młodzież, ażeby się zapatrywała na owe wielkie wzory, i wzniecać w jéj sercu święte uczucia. Niech ona nie przestaje na książkowéj tylko moralności, lecz niech ją w życie przeleje.

Józef Gołuchowski.



Odrętwiałość moralna.

Często się zdarza, że wprzód, nim życie pozna, wprzód nawet, nim go nadużyje, pośród blasku zdrowia, młodości, majątku, napada człowieka moralne znużenie, niechęć wszystkiego, niesmak samych słodyczy — pewny rodzaj odczarowania, które jednak nie jest odczarowaniem, słowem *odrętwiałość moralna*.

Choroba ta, właściwa młodym paniczom naszym, zabija najpiękniejsze przymioty, któ-

rych im natura udzieliła, a wychowanie nadto wykwintne a mniéj gruntowne nie w naturalnym porządku rozwinęło, lub przed czasem do przejrzałości doprowadziło.

Że stan taki nieudolności i bierności umysłowéj nie jest odczarowaniem, to dowodzi, że umysł ich żadnego oddziaływania nie pokazuje, jak to się dzieje w prawdziwém złudzeń życia odczarowaniu. Pod tym względem słusznie powiedzieć można z włoskim filozofem: że odczarowanie jest także dobrodziejstwem (*) — Od niego zaczyna się epoka życia nowa, mniéj kwiecista, mniéj powabna, jak roślina bez kwiatu — Złudzenia życia zostają tęsknem wspomnieniem; zmniejszy się sfera działań człowieka, oddali się niebo, i na niém, jak gwiazdki, zdaleka tylko migać będą iskierki czarownéj przeszłości. Ale natomiast odarty i odczarowany z przywidzeń własnego szczęścia, oceni prawdziwiéj pozory cudzego. Sama zawiść znajdzie tłumacze-

(*) E il disinganno non è un dono?
Tommaseo.

nie i ucichnie — Serce ranione zrozumie i oceni boleść bliźniego— pozna przeciwną stronę tego pięknego medalu, który świat wyobraża; skosztuje trucizny tej rośliny, której kwiaty podziwiało. Odczarowanie nauczy duszę wystarczać sobie samej, nada cenę tęsknocie i samotności, i prawdziwą znajomość siebie samych ludziom daruje. Ale natomiast, to na co zblizka spójrzymy, czego się ręką i wolą dotkniemy, to wszystko uzna wyższość człowieka i zegnie przed nim kolano. Podniesiem śmiałą ręką kraj zasłony odwiecznych świata i rozumu tajemnic, i nie w postaci zachwyconego anioła lub kornego ofiarnika, ale jak sędzie i posiadacze ziemi zapytamy natury o tłumaczenie wielu onéj zjawisk zmysłowych i moralnych. Tym sposobem westchnienia i łzy, któremi tę ważną życia przemianę okupiliśmy, nie będą dla nas stracone. Zniknienie kwiatów opłacone będzie obfitym owocem!

Bezwładność umysłową młodych paniczów mógłbym porównać do kwiatów, sztuką ogro-

dnika w pełne zamienionych, po okwitnieniu których nic nie pozostaje.

Ten narzeka na towarzystwa, które go nudzą i zabijają; nie znajduje w nich najmniejszego powabu — więcej — uważa one za nieznośny zbiór wszystkich śmieszności i skażenia. Opowiada ci to znudzonym i wpółdrzemiącym językiem — rozumiałbyś że ten panicz ostatni raz był w towarzystwie — że jest odczarowany — że ocknie się z letargu i nowe źródło nowych i świeżych serca i umysłu przyjemności wynajdzie. Mylisz się. Jutro znowu piérwszy stawi się w nieznośném towarzystwie, i wpółumarły z nudy, wychodzi ostatni, ażeby następującego dnia powrócił piérwszy. Bo co go więcéj zastrasza, czego przed sobą wyznać nie śmié, to jest towarzystwo z sobą samym.

Ten drugi codzienne życie chciałby przerobić na ciągłą uroczystość — codzienny odpoczynek na ciągły tryumf; grzeczność i uczynność drugich, na prawo ciągłych hołdów i daniny. Niech całe miasto, niech cała o-

kolica — więcej — niech świat cały zna, że przechodzić ma król jego, i niech mu z drogi ustąpi; jeśli miasto, okolica i świat cały nie chce zostać *kanalią*. Niech miasto całe, i dzwony i wozy i płacz dziecka i wołanie biédnego umilknie, bo pan spać chce, bo pana bezsenność męczy. Niech miasto całe, niech biédny bez chleba, niech powietrze i niebo same śmieje się dla rozweselenia pana, dla dobréj jego strawności.

Ranek, czas pracy, przewaga i panowanie umysłu w ekonomii człowieka, nieznośnym jest nadewszystko w podobnym letargu — Więc ranek wymazać z życia — Sam widok cudzéj pracy i zajęcia się byłby dla niego wymówką. Wieczor i noc, panowanie i przewaga zmysłowości, są powabniejsze dla ospałego umysłu.

Świéżość czucia i żądzy, która jest owocem równowagi funkcyj ciała ludzkiego i dobrodziejstwem stopniowéj edukacyi, jest im wcale nieznana. Po kilku latach, co mówię, po kilku miesiącach już do dna wyczer-

pali słodycze i rozkosze życia, a przez resztę życia pić będą same męty i błoto.

O podziale czasu, o jego moralnéj wartości wiedzą tylko z teoryi, która przypadkowie zaleciała do ich głowy; rozumieją, że ich przywilejem jest odpoczywać za prace przodków— za cały naród ludzki.

Biada im, i biada temu, któryby z nimi chciał przez godzinę przynajmniéj ciągłą, logiczną, głęboką o jednym przedmiocie prowadzić rozmowę; bo mowa sama jest dla nich narzędziem zabawy. Z harmonijnych cudzoziemskich słówek, jak z pięknych zagranicznych kwiatów, wiążą codzień bukiety i w pięknych naczyniach zdobią niemi sztuczne nocy swoje.

Spytaj się co jutro robić będzie? ale to za wiele — Spytaj się co wczoraj robił?— Otrzymasz opowiadanie godne bohatéra; a cóż mówić o idei życia, o jego wartości i przeznaczeniu!

Mają talenta nabyte i zarody wrodzonych— ale te podnoszą tylko ich dumę, i dla dru-

gich są nieznośne. W sztukach pięknych dusza i życie jest warunkiem i cechą ich piękności: dwie rzeczy tak bierne i tak mało w nich malownicze.

Znają powierzchnią nauk samych — ale jeśli te do zabawy lub próżności nie służą, zapominają o nich, lub przez całe życie pływają na ich powierzchni.

Religia sama, ta najświętsza filozofia duszy, i zdrowa filozofia, ta religia dusz cnotliwych, znana im jest tylko przez pytania i odpowiedzi. Nauczyli się jéj równie jak arytmetyki i historyi. Ale to przerobienie na własną krew i życie świętych jéj prawideł — to wyrobienie z nich obyczajów i cnotliwych, że tak powiém, nałogów codziennego życia, zostawili tym, którzy nie mieli szczęścia na równéj z nimi urodzić się wysokości. Oni znaleźli dla siebie gotową zasługę, jak znaleźli bogato ozdobne pałace swoich przodków.

Przyczyny główne téj choroby umysłowéj, która się opiéra postępom i spi życie całe w gnuśności, odnoszą się do następujących:

a) *W dziecińßtwie piérwszém* przesycenie chęci i woli, tak, że piérwsze wyrodziły się w dziwaczność; druga nie mogła się rozwinąć i wzmocnić.

b) *W dziecińßtwie drugiém* obciążenie ich książkami i nauczycielami; zaniedbane rozwinięcie ich zdrowia; przypuszczenie ich do zabaw towarzyskich osób dojrzałych; zbyteczne pochwały za najmniejsze błahe nawet ich postępy i t. p.

c) *W wieku rozwinięcia* nadużycie rozkoszy zmysłowych w samym onych zawiązku, i nieszczęśliwe skutki, które za sobą ciągną: wyniszczenie i choroby. Łatwość dostania pieniędzy, towarzystwo zepsutych przyjaciół, pochlébstwo sług i ciągłe próżnowanie.

I tak, naprzykład, w niemowlęctwie samém, kiedy umysł spi jeszcze, a budzi się onego tylko piérwsza zorza: wyobraźnia i żądze nieoznaczone; te posłańce duszy do nieznanego jéj świata jakie znajdą na nim przyjęcie, jaką drogą poprowadzone będą, taką do śmierci iść nie przestaną. Na nieszczęście człowie-

ka, to nadto jest wielka prawda — i na nieszczęście często rodziców, przyszłość dzieci jest wyłącznie ich dziełem.

Dziecko bawić się chce, czyli raczéj natura chce rozwijać i umacniać słabe jego członki. Dla rozwinięcia jego członków dają mu do rąk straszydła z formą ludzką, którym dziecko głowę odrywa, nogi i ręce łamie, bije o ścianę, i wszystkie zarody dziecinnéj fantazyi wykształca. Teraz człowiecza maska, a kiedyś sam człowiek zostanie dla niego również igrzyskiem i zabawą! .... I w tém miary nie ma! Następujące cacko powinno być droższe, większe od piérwszego; powinno być piękniejsze jak u dziecka sąsiada. Jeśli dziecko same téj uwagi nie zrobi, to go jéj nauczą. Dziecku się nie podobała lalka, znudziła je, bo już od trzech dni u niego zostaje — trzeba nową koniecznie dla niego kupić! Tak kiedyś z przyjaciołmi, z obowiązkami, z jednostajnością życia czynić będzie; gonić za coraz nową zabawą, nowym ruchem, i samą tylko powierzchnią życia przebiegnie i pozna. —

Dziecku potrzeba prostego i zdrowego pokarmu — to warunek konieczny jego zdrowia; a my z pokarmów daliśmy mu najsmaczniejsze, najdelikatniejsze, i dziecko się niémi przesyca, i zdrowie niszczy, i smak do tych słodyczy traci— i coraz nowych odmian już w skażonym guście szukać będzie. Nie tak byłoby, gdyby człowiek stopniami przychodził, w miarę jak jego rozum i ciało rozwija się, do coraz nowych życia rozkoszy. Każda najmniejsza przyjemność, dodana do jego życia, miałaby dla niego czucie świéżości — byłaby nowym postępem życia, zbliżonym szczęścia obrazem.

W ubiorze dziecka, w kolorach i kroju jego sukienek, co za przepych, co za duma rodziców, co za próżność dziecka!—I ten wiek złoty niewinności i szczęścia dziecinnego my potrafiliśmy zamienić na szkołę przyszłego zepsucia, na przyszłą pogardę dla źle odzianego — na przyszłą życia powierzchowność!

Oprócz pochwał koniecznych piękności dzie-

cka, jego oczu, nosa, ust, włosów i t. d.— kiedy dziecko wymówiło coś podobnego do dowcipu, zaczęły się pochwały i *bravo* w domu, przeszły do sąsiadów, opowiedziane, otrąbione przed całém miastem, przed całą okolicą — i mały bohatér w tryumfie na ręku noszony zaprawia się do téj daniny, i kiedyś wymagać jéj od drugich będzie lub dręczyć się daremnie, kiedy mu jéj drudzy odmówią.

Dosyć, dosyć — mogłem oburzyć na siebie najczulszą, najszlachetniejszą część rodu ludzkiego, matki — oskarżą mnie i wezwą przed swój obrażony areopag — nazwą mnie nieprzyjacielem dzieci, nieprzyjacielem rodu ludzkiego, twardym i nieużytym szczęścia matczynego wydziercą — i potępią.— Ja — nieprzyjaciel dzieci?! ja, który chciałbym, ażeby całe życie było tak dla nich uroczém jak jest onego poranek—ja, który chciałbym osłodzić gorycz łez i zmniejszyć liczbę zawodów — ja, który matkom samym chciałbym wlać do serca kropelkę męztwa i nadziei,

zamiast bolesnéj a często koniecznéj rezygnacyi!

Czyżby nie lepiéj dać dzieciom do rąk, na mały rozmiar, narzędzia ogrodnicze lub rolnicze? Niechaj niemi w ogrodzie poruszają ziemię — niechaj na ziemi, własnemi rękami uprawionéj, zasiewają kwiaty—pielęgnują, polewają, oczyszczają, kiedy rosną — i z cierpliwością czekają na kwiaty i owoce. Zgrubieją cokolwiek rączki dziecinne, opali się ich lice — ale będą zdrowe, moralne, i kiedyś wdzięczne swoim rodzicom. Zimową porą dziecko koszyki wyplatać będzie, sieć wiązać, posługi lżejsze domu odbywać — sobie usłużyć i t. d. Dać im wzorki domów, które składać będą, dać im figury matematyczne: bryłki, pryzmy i t. d., których powoli nauczą się nazwisk, własności i użytku— i tysiąc podobnych zabawek. Nakoniec niechaj dziecko biega raczéj bez celu, aniżeli z celem źle zrozumianéj zabawy. Nie będzie może przez całe życie ręcznie pracować, ale we wspomnieniach jego zostanie ręczna praca, jéj trudy i zno-

je—tak, jak w historyi losów ludzkich, praca jest człowieka przeznaczeniem. Będzie znało cenę tego kąska chleba, na który rolnik znojem całego życia zarabiać musi. To go więcej zbliży do ludzi, choćby się najwyżej urodziło, niżeli wszelkie dowody słówne o równości człowieka, które potém jak piękną utopią traktować będzie. To pod moralnym względem — a cóż mówić o fizycznym!...

Kiedy przychodzi wiek uczenia, pokonawszy nienajszczęśliwszym sposobem piérwsze trudności, chcielibyśmy z dziecka zrobić Salomona, Arystotelesa, Newtona; zajmujemy wszystkie dnia godziny, otaczamy go nauczycielami, metrami, guwernerami, którzy dzień i noc, jak nad papugą, gadać nie przestają, aż póki odurzona papuga wyrazów powtarzać nie zacznie. Skutkiem takiego uczenia, dziecko w nienawiść bierze naukę i książki — i nieraz przysięga sobie, że skoro wyrwie się z téj niewoli, nigdy nie zajrzy do książki — W biednym jego mozgu nic nie dojrzewa, bo ciągle się przewraca ta ziemia, rzuca się co·

raz nowe ziarno i zatłumia się wschodzące nowemi, że tak powiém, zasiewami.

Potém podrostka wprowadzamy między towarzystwa. Okadzony pochwałami życzliwych domu przyjaciół i nauczycieli, ośmielony przymileniami kobiét, postrzega młokos, że do korzystnego pokazania się na świecie nie tak wiele potrzeba, jak mu stary jaki rzetelnéj zasługi przyjaciel nagadał. Zgrabna nóżka, kilka zręcznych ruchów, szczélnie frak ociśnięty i kilka tuzinów na zapas filigranowéj roboty konceptów, kilka przygotowanych *à propos*, zrobiły mu opinią doskonałego kawalera; znaczenie rodziców, dziedziczny tytuł, majątek i pozycya towarzyska resztę doskonałości dopełniły — i już daléj ani na krok umysł nie postąpił.

Zaczyna się potém nowe życie z całém czarodziejstwem zmysłów i wyobraźni. Naprzód w postaci motyla leci młodzieniec za kwiatami—przyjmuje potém ozdobne ich jarzmo, a nareszcie pokonany w ostatkach, że tak powiém, moralnego oporu, przyjmuje na sie-

bie najobrzydliwszą ich niewolą. Wówczas głos rozumu, przyjaźni i zdrowéj rady jest natrętnym i nieznośnym. Oburza się na nie nieszczęsna ofiara, jak nieraz okryty ranami na tę rękę, która chciałaby one opatrzyć i uleczyć. Moc woli i charakteru, któréj rozwinięcie więcéj jak wszelka nauka i talenta powinno być edukacyi owocem, która prawdziwą wartość człowieka stanowi, pomimo że tak często usiłowania jéj są daremne i zawiedzione, ta zupełnie odstąpiła szczęsnego kochanka trafu i bierności; puścił się on na pęd strumienia i nie myśli dokąd go woda zaniesie.

To jest błahy i niedostateczny obraz odrętwiałości moralnéj. Łatwo go każdy swemi postrzeżeniami wzbogaci i dokończy, i wskaże nowe kształty, pod któremi się objawia. Ale kształt sam równie w moralnych jak fizycznych chorobach jest rzeczą mniejszéj wagi; ważniejszą jest natura niemocy, na poznaniu któréj doskonalém zasadza się skuteczny sposób leczenia.

Nim o leczeniu słówko powiémy, nie od

rzeczy będzie poznać *przepowiednie znaki* pomyślnej lub obojętnej w tej chorobie odmiany. Dobrym jest znakiem, jeśli chory sam szuka lekarza i lekarstwa; mniej pewnym, jeśli lekarz od kogo innego jest wezwany; najlepszym, jeśli chory zna swój stan moralny, jeśli cokolwiek, naukę, talent lub co innego umie gruntownie; jeśli siły jego umysłu nie są wyczerpane, ale stłumione i uspione tylko; jeśli można liczyć na pomocy przyjaciół, z któremi codzienne łączą go stosunki; jeśli choroba nie jest skomplikowana z jaką namiętnością, bo ta do gorączkowych chorób odnosi się, gdy przeciwnie odrętwiałość jest chorobą chroniczną; jeśli można chorego oderwać od miejsc, od przyjaciół, od zabaw, które mu ostatki sił moralnych wyniszczają. Rzadko się przesila choroba gwałtownie: na to potrzeba wielkiego wstrząśnienia duszy, wielkiego nieszczęścia, co jednak rzadko się im przytrafia. Najczęściej zużywa duszę powolnym biegiem i kończy się zupełną nieczułością i śmiercią umysłową.

Do wyjścia z odrętwiałości moralnéj jeden tylko widzę skuteczny sposób, to jest: *stopniowe wzmocnienie i przyzwyczajenie woli do wykonywania włożonego na się obowiązku.*

Nie można nagle przejść z życia nieczynnego do myślącego, z zepsutego do mądrego, ze zmysłowego do moralnego. Ktokolwiek patrzył zblizka na ludzkość, wyzna, że podobne wymaganie jest utopią niedoświadczenia, lub nauką przesądu.

Natura jednego człowieka jest jak historya rodu ludzkiego. Najgłębszy znawca człowieka, CHRYSTUS, dał nam w téj mierze najpiękniejszy przykład. Opowiadając naukę swoję uczniom i powołując ich do doskonałego życia, musiał im do czasu zostawić niektóre zwyczaje dawnego prawa, ażeby powoli boską naukę niesmiertelności duszy, równości, braterstwa, miłości ubóstwa i cnoty zaszczepił. Następcy nie zrozumieli tego głębokiego systematu mistrza, i to, co w zamiarze stopniowego udoskonalenia mistrz rodu ludzkiego

musiał zostawić, ażeby następni zaczętą przez niego reformę dokonali, oni te resztki opłakane duchownéj niewoli pomieszali z istotą boskiéj nauki, przybrali one w powabne szaty powagi, obowiązku, potrzeby, i na kilkanaście wieków postęp ogólny duszy wstrzymali.

Ale wróćmy do jednéj choroby, i od rodu ludzkiego do jednego człowieka, od boskiego mistrza i jego nadludzkich sposobów do naszych słabych, lecz szczérych chęci. Stopniowe wprawienie woli do wykonania przedsięwzięć za jedyne lekarstwo odrętwiałości uważam, a dla wyraźniejszego zastosowania w przykładzie objaśnię.

Między istotnemi symptomatami choroby o któréj mowa zwłaszcza między dostatnią młodzieżą, liczy się to nieszczęśliwe działanie pod wpływem chwilowego natchnienia, tak, że nie wiedzą co za pięć minut, co za godzinę robić maią: prawdziwe łodzie bez steru na wolą morza puszczone. Bez względu więc, początkowie przynajmniéj na naturę moralną ich zatrudnień, bo dwie reformy od razu

przedsięwziąć byłoby niebezpieczną rzeczą, starajmy się przyzwyczaić ich naprzód, ażeby wieczorem zrobili sobie pewny porządek godzinny zatrudnień i zabaw na dzień następny: o téj godzinie wstać z łóżka, o téj śniadanie, o téj wizyta ranna, o téj obiad, o téj przechadzka, o téj wizyta wieczorna, o téj nareszcie udanie się do snu. Piękne zaiste programma dla rozumnéj istoty! Takie włożenie na siebie obowiązku nie jest ciężkie, ale zawsze to jest idea porządku, przewidziana, przyrzeczona swemu honorowi, jest to słodka niewola obowiązku, z którą miesza się jeszcze cały powab niemyślenia, ale razem kryje się zarodek przyszłéj doskonałości. Jakoż, to, co było chwilą w życiu młodzieńca, bo nad chwilę daléj nie widział, staje się dniem jednym. Już to jest wielka wygrana.

Niech się nie zdaje komu, że ta piérwsza praktyka jest łatwa i zawsze się udaje. Ja rozumiém, że na całéj drodze dalszego leczenia, może ten początek jest najtrudniejszy. Obudzić to, co spało długim letargiem, nadać

obudzonemu umysłowi porządek za pana, jest to promień jego do nieskończonności posunąć.

Następnie, niech młodzieniec zrobi rozkład swego czasu na trzy dni, i niech go sumiennie wykona, a przy końcu tego peryodu już wiele dozna przyjemności nieznanéj przedtém; bo żył, że tak się wyrażę, trzy dni w przyszłości. Kolejno i bardzo powoli, kiedy wola dosyć silną będzie do wykonania włożonego obowiązku, samą *naturą zatrudnień* zająć się można będzie. Tak, zamiast saméj przechadzki, która godzinę oznaczoną zająć miała, podłóżmy godzinę czytania stosownego; zamiast owéj wizyty, w któréj płytka rozmowa odkryła nieraz młodzieńcowi swoje dno błotniste, naznaczmy pójście do kościoła, zwiedzenie jakiego zakładu, jakiego miejsca ozdobnego wdziękiem natury, pamiętnego w dziejach narodu; jakiego artysty, fabryki, cmentarza, kościoła i t. d. Potém, i to nie prędko, kiedy wola tak silną będzie jak sam umysł, dasz poznać konwalescentowi, że całe życie, jaki-

kolwiek blask otacza jego gwiazdę, powinno mieć cel swój, swój systemat, swoje sposoby. W niedostatku ich stwórz mu cele, a skoro rozum pojmie one, wola już silna, łatwo wykona, a choroba sama, o której mowa, zostanie tylko bajeczną historyą duszy potężnej, silnej, która całą swą godność pojmuje i całą moc swoję rozwinąć umié.

Do nieskończonności daje się urozmaicać zastosowanie podobnéj praktyki. Wymiarem postępów i polepszenia, zawsze jest wola, i na nią, jak na skazówkę, zapatrywać się należy, zboczenie jéj oznaczać, i do pewnego choć dalekiego celu, nieznacznie kierować. Bo rozum i wola są dwa różne w człowieku pierwiastki, których zbliżenie i połączenie, edukacyi moralnéj nie tylko jest głównym celem, ale najpiękniejszym tryumfem.

W.........

List z Oremburga.

PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.

Między osobami oświecającemi pomrok mojego życia, jest jeden człowiek, którego nie częste, lecz przyjazne odwiedziny stanowią rozkosz nielicznych moich przyjemności. Z nim chcę was zaznajomić. Jest on średniego wzrostu, w którym nie zdaje się ukazywać doskonalsza wymierność; głowa pokryta gęstym czarnym włosem, składa niejakąś oddzielność nie całe odpowiadając postawie; ry-

sy twarzy dosyć regularne wyjawiają bojaźliwość, wątpliwość, i każą odgadywać w nim przytępioną działalność samobytnéj woli, brak męzkiego w sobie zaufania; tenże sam niedostatek zdaje się wykrywać całe jego obchodzenie się z ludźmi. Przecież, niewielkie zapadłe oczy statecznie są ożywione natchnieniem, którego promienie odbijając się i rozlewając na szérokiém i otwartém czole, tworzą jakiś ogólny, uroczysty widok, niby wieniec promieniejący wokoło, zapewne odbłysk jego wysokiej duszy. Do cztérdziestu lat wieku swego jeszcze nie nabył zgrabności w występowaniu, doswiadczenia w pożyciu, a zachował wcale idealność wyobrażeń młodzieńca. Dusza jego niewinna w pojęciach, czysta w pobudkach, piękna w uniesieniach, święta w celach, opiéra się stanowczo gwałtownym namiętnościom i fantastycznie przywiązującym upodobaniom. Z uniwersytetu, który był jego ojczyzną i chwałą, nagle przeniesiony został w kraj daleki i pusty, nieprzyjazny mu przez swój klimat i przez swych mieszkań-

ców. To umartwione położenie nie wyrodziło w nim nienawiści, nie zostawiło jednostronnej myśli, uporczywego uczucia; właśnie wtedy stał się obywatelem świata i zaczął starać się być pożytecznym nawet nieprzyjaciołom swoim. Upodobania jego proste i dziewicze. Wszystkie ciche piękności natury znajdują współczucie w skromnéj duszy jego: wonność kwiatka, ruch listka, życie owadka, losy kryształku, szemranie strumyka, jasność nieba i wszystko podobne ma dla niego swoję tajemniczą mowę; na to wszystko odzywa się on wzajem znajomém jéj powitaniem. Głos jego słaby i przytłumiony, wymowa ciężka i nie powabna, rozmowa czasami zagadkowa, ale zawsze zjawia się w niéj taka nowość pomysłu i obejrzenia, tyle obudza ciekawości w myślach, tyle wzniesienia w uczuciach, że niespodziewanie ujmuje słuchacza: bo stawi rozum i serce jego na drodze całe nowéj i niewiadoméj, ale razem niby oddawna znajoméj; tak ona jest właściwa wewnętrznemu naszemu przekona-

niu i naturze. Słuchasz go — idziesz za nim mimowolnie, razem z nim wchodzisz w labirynt jego pojęć, razem z nim błąkasz się po tym labiryncie, i znajdziesz się uradowany na swiatłém, przyrodzoném polu, na które zaprowadził on ciebie siłą jasnych i przekonywających rozumowań, zkąd prawda odkrywa się z najpowabniejszéj strony dla człowieka. W czystości twórczego wyobrażenia począł i zaludnił sobie świat istotami na wzór ideałow wrodzonych duszy jego. Nie zapatruje się on na ludzi ze strony, w jakiéj ich stawią okoliczności zewnętrzne ich bytu, lecz wyobraża ich jakiemi być mogą i jakiemi być powinni wedle niezbitych rachub jego światłego umysłu. Wpośród prozaicznej rzeczywistości naszego życia, wyobraża się być otoczonym osobami tak oderwanemi od matery, jak jego pojęcia, czystemi jak jego chęci, fantastycznemi jak jego myśli, tak samobytnemi jak jego sądy o rzeczach: ale też trudno mogącemi się doskonale urzeczywiścić, jak to wszystko, co jest idealne. Ztąd zawsze być musi je-

dynakiem na zwyczajnym świecie: bo kiedyż zmysłowém okiem ujrzy jedno z tych stworzeń, którym byt daje w swojéj wyobraźni? Ztąd zawsze czuć go z nami, bo umysł nasz miwowolnie pożąda zachwycić cokolwiek z piękności jego duszy i przyswoić sobie niby skarb prawnie nabyty, bo wynaleziony wyłączną przezornością naszą. Mimo takowéj wzniosłości pojęć i bytu jego, która się raz wraz roztrąca o bezduszną naszę materyalność; w obchodzeniu się widzisz go prostym, skromnym, pobłażającym. Uprzejmość tak słodko porusza jego serce, pochwała tak dziecinnie łechce jego miłość własną, tak pokornie a z takiém zniewoleniem wyzywa i wymaga serdecznéj pieszczoty, że dla czułéj duszy byłoby boleśnie nie uronić dla niego oznakow przyjaźni, a tém bardziéj nie otrzymać ich nawzajem. Dusza nasza szuka go przez jakoweś przeczucie i zgaduje go samą tylko czułością. Jednając ku sobie tyle podziwienia, tyle życzliwości, tyle przyjaźni, nie ma, czy nie używa daru zapalania namię-

tnych uczuć kobiéty. Dla pospolitéj niedostępny jest przez swą doskonałość; wyższego zaś rzędu kobiéta szukałaby w nim i zewnętrznych znaków przewagi nad sobą, albowiem dla jednéj i drugiéj potrzeba koniecznie jakiegoś zalśnienia i upojenia, rozkazywania i panowania. On nie powiedzie jéj od ciekawości do czucia, od czucia do zachwycenia, od zachwycenia do zapomnienia się; płomieniste słowa jego nie zapalają jéj duszy; ona nie czuje w nim ani podstępnego zwodziciela, ani swojego ducha opiekuńczego, ani swojego władcy: występuje albowiem tylko jako wielbiciel, zaślepiony, pokorny, trwożliwy; on nie wydaje się być mężem dojrzałym, bo tchnie uczuciem i myślą młodzieńczą; nie jest też i młodzieńcem, bo wygląda nie świeżo.

Podobnie jak narowiste dziécię rozbija nierozmyślnie piękny utwor szczęśliwego natchnienia artysty; tak nieopatrzna młodość narodu, samowolnie rozbija doskonaléj natchnione utwory najwyższego sztukmistrza.

A tak, ktoby przestrzeń naszego wieku przeleciał odważném skrzydłem, zostawując w niéj dla potomnych ślady jasne i niezatarte, ten, pozbawiony siły, ofiara zawistnego losu, jak ów cień niemy i nienarzekający, w nieoznaczonym kształcie, przeciąga się po chłodnéj i ponuréj ziemi, i może zniknąć bez śladu razem z zachodem jego zdaleka świecącéj zorzy i wraz z nastaniem jego bezgwiazdzistéj nocy. Tak-li ta jasna i ogrzewająca lampa, przepełniona wonnemi balsamy, dla braku ożywnego powietrza, ma zagasnąć przedwcześnie?

Marya Szczerbaczew.

Sumienie.

STWÓRCA świata, nadawszy swemu arcydziełu bogaty umysł i zarody najszlachetniejszych uczuć; jako prawdziwą emanacyą bóstwa i piętno naszego niebieskiego początku, zostawił w duszy ludzkiéj najświętszy i niemylny trybunał sprawiedliwości — to jest *sumienie*. Czém byłby rozum bez tego sędziego? czém serce bez tego przewodnika? czém człowiek bez téj iskry niebieskiego ognia, która jedna świętość jego i wyższość nad stworzenia stanowi?

Sumienie, to wiedzenie siebie (conscientia) nie jest żadną władzą umysłu, żadnem uczuciem, bo poprzedza rozwijanie się jednych i drugich, i nie ulega przemianom; tak od natury samej jest doskonałe i niezmienne. Sumienie jest kodexem praw indywidualnych, palcem Boga na duszy naszej wypisanych, a często i wykonawczą ich władzą; najczęściej jedyną nagrodą, lub karą w tem jeszcze życiu za najskrytsze serca naszego żądze.

Sumienie jednem słowem rozstrzyga najzawilsze czynności i rachunki ludzkie: *to jest dobre, a to jest złe,* godziwe lub niegodziwe. Wola posłuszna, lub buntownicza, wykonywa lub odrzuca to ostrzeżenie; ale ten głos raz wymówiony, przez całe życie rozlega się w duszy człowieka; sam żal i rozpacz zatłumić go nie potrafi.

Sumienie nie zabrania rozumowi sprawdzać swych wyroków; w tem podobne do Religii świętej, która tem więcej blasku nabiera, im więcej jest zgłębiona i poznana. Ale biada rozumowi, któryby dumny swoją siłą odważył

się mieć inne od własnego sumienia zdanie. Rozpocznie domową wojnę długą, okrutną, która w tém życiu się nie skończy. Może nie raz chlubić się będzie, że nad niém otrzymał zwycięztwo; ale się myli, bo sumienie broni nie składa: wśród cieniów nocy powstaje jak mara z grobu, i ciągle jedno powtarza słowo: *biada*! I sen przerażony ucieka od nieszczęśliwego, który przed chwilą mienił się zwycięzcą. Drżenie, gorączka, lód, na przemiany rozdzierają jego duszę. Zmienia rodzaj zatrudnień, ucieka od miejsc swoich czynów; tłumem zabaw, roztarguień usiłuje zagłuszyć silniejszy nad to wszystko głos sumienia: ale się myli, bo raz obrażone sumienie mści się zemstą długą, nieskończoną w tém życiu.

Tém więc prawem, które nam Religia i sumienie nadają, obaczmy co jest dobre, a co złe, w pierwiastkowéj formie swojéj, pod jaką sumienie się odzywa, wprzód, nim systemata, zwyczaje, prawa, nakoniec sama Religia głosu tego nie uświęci, lub tylko względnym nie uczyni. Bo musi być jakaś zasada

cnoty nam wrodzona; inaczéj to arcydzieło stworzenia nie byłoby doskonałe, a droga naszéj duszy trafem kierowana, lub najsmutniejszą fatalnością rządzona.

Zbawiciel doskonale oznaczył tę zasadę w głębi serca ludzkiego wypisaną: *kochaj bliźniego, jak siebie samego. Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.* Wymiarem i sędzią tego stosunku jest własne sumienie; nagrodą wykonania tego świętego prawa jest w tém życiu również sumienie.

Niech cały świat na nas się sprzysięże, niech opinia nas potępi, niech niesprawiedliwość ludzka przygniecie nas ołówianą ręką swoją; jeszcześmy spokojni i szczęśliwi, kiedy sumienie nic nam nie wyrzuca, jeśli rękę położywszy na sercu, przed samemi sobą powiedzieć możemy: zrobiłem dobrze.

I nawzajem — opinia wzniosła nam tryumfalne łuki. Prawa w imieniu społeczności całéj, zawiesiły na naszéj piersi znamię zasługi i cnoty. Świętość stanu i lat naszych zamknęła usta samej potwarzy: a subtelny dymek po-

chlebstwa okadził ozdobny ołtarz naszéj dumy, na którym wygodnie, bezpiecznie odbieramy najpiękniejszą daninę ziemi: ale nieodstępny, niewidomy towarzysz woła na nas: biada! i jedno tylko biada rozlega się w niezmierzonych pustyniach duszy.

Patrz na to wybladłe lice, na to czoło zorane, na te oczy tępe, na te usta sine i zaciśnięte. On drugich nie widzi, nie slucha, nie uważa. Zmysły jego zagłębiły się w sobie samym, uśmiéch przekąsu, jak syknienie gadziny, przesunął się między brózdami jego rysów. Gdzie jest dusza tego człowieka? Ona jest przed sądem rozgniewanego sumienia, lub wytrzymuje już karę przez jego sprawiedliwość naznaczoną.

Patrz jak ten nieszczęśliwy, rozciągnięty na lichéj słomie, spi spokojnie snem niewinności, a na licu jego ślady kilku lez, które nie nad sobą wylał, ale nad ludźmi i światem. Ta pogoda czoła i te usta do śmiéchu ułożone zapowiadały dla niego inne przeznaczenie. Ludziom zdało się inaczéj!... Otwiérają się

nagle z trzaskiem wrzeciądze jego więzienia— a on spi jeszcze — Lekkie drżenie wstydu i politowania przebiegło duszę kata. Został na chwilę człowiekiem, lecz wkrótce wstydził się wstydu swojego, i silném ręki wstrząśnieniem obudził potępionego. Wstał, westchnął, lekki rumieniec, jak jasność świętych, oświecił twarz jego—i spytał się: czy już czas? Milczenie było odpowiedzią. A następujące milczenie niewinnego było ostatnią jego obroną, ostatnią z ludźmi rozmową. Gdzież jest dusza jego? Ona przed Bogiem, gdzie śmiało zapytuje Stwórcę o tajemnice ludzkich przeznaczeń, i sąd własnego sumienia pod sąd sprawiedliwości bożej poddaje. Czémże więc są odmiany formy w ludziach? co jest samo szczęście lub nieszczęście, którém oznaczamy kilka zewnętrznych objawień życia? czém sama boleść, cierpienie i śmierć, ta słaba danina zapłacona naturze, lub wyciśnięta na nas koniecznem oddziaływaniem społecznych więzów? Jest tą przemianą gąsiennicy, z której ukształci się motyl piękny, symbol wyzwolo-

néj duszy, rozczulające godło chrześciańskich grobów. A cechą wartości osobistéj, może nieznaną ludziom za życia i po śmierci, najwyższą wartością moralną, będzie zawsze sumienie.

Stanął człowiek na tym progu, z którego wolno mu raz ostatni obejrzeć się za siebie, pożegnać państwo zmysłów swoich i położyć własnoręczny podpis u spodu swojéj lichéj historyi. Jakież wówczas czyny życia swojego najwięcéj ocenił, i kogo wybrał za sędziego życia, które po raz ostatni przegląda? Czy świat, z którym się żegna i którego już nie widzi? Czy przyjaciół i krewnych, którzy płaczem, rozpaczą i żalem, może tylko rozpacz obudzają w konającym? Nie — rzucił od siebie znaki dostojeństwa i zasługi, zamknął uszy na dźwięczny głos pochlebstwa — i wybrał jedno *sumienie*.

Zasnął — a przebudzi się na nowe życie już w lepszym swiecie — a tymczasem krótkie żale, krótka pamięć przeprowadziły jego zwłoki do niedalekiéj mogiły. Uczony zajrzał do

tajników pustego domu, z którego jak ze skorupki wyleciał dojrzały motyl, z głowy jego wyrobił czaszkę i umieścił ją w szeregu swoich postrzeżeń i nauki. Pobożność na jego mogile wkopała krzyż, znak cierpienia, to najprawdziwsze i najświętsze godło człowieka. Przyjaciel wypisze na nim kilka wyrazów, i obok zmarłego swoje umieści imie. I miejsce jego w społecznych szeregach, jak rozdzielona trafem woda, znowu się zapełni, i mała drożyna między kolébką i grobem, zarośnie wkrótce zielem i nowemi dla nowych pokoleń pokryje się cierniami.

Prawdziwa wieczność niepamięci rozpoczęła się dla niego; a jeśli pamięć jego przejść ma dalej, to historya chwyta nitki rozrzucone prawdziwej osnowy życia; oczyszcza one od farby, które im życie nadało; odgaduje pomysły, zamiary, chęci człowieka; chciałaby odgadnąć samo sumienie swego bohatéra, to jest, ten sąd, jakim człowiek sam siebie sądził. Bo sumienie jest najsprawiedliwszą miarą wartości za życia, a odgadnienie jego z po-

zostałych czynów, jest najprawdziwszą historyą po śmierci.

Nieprzyjaciele, z któremi sumienie przez całe życie domową prowadzi wojnę, są: *namiętności, interes i nałogi*, które choćby niewinne, osłabiają działalność sumienia, i człowieka do rzędu nierozumnych istot zniżają. Niewiadomość sama i różne stopnie obłąkania umysłowego, nie są jawnemi nieprzyjaciołmi sumienia; są więcej nieszczęściem człowieka względném, i tylko przez drugich mogą być ocenione.

Każda *namiętność* jest zboczeniem woli, czyli wolą nie rządzoną przez mądrość i sumienie. Bez względu na ich naturę powiedzieć możemy, że dopóki pod ich panowaniem człowiek zostaje, rozum jest milczący, albo uspiony. Samo wyobrażenie szczęścia i nieszczęścia tak różne od pojęcia w normalnym stanie człowieka, to życie pasorzytne, mniejsze lub większe zostawuje w duszy zniszczenie, dodaje zmarszczkę niezatartą naszemu licu, zostawuje bliznę niezatartą w sercu.

Ile ponęt, ile złudzeń, ile pociągu wewnętrznego i czarodziéjstwa wszelkiego rodzaju mieści się w każdej namiętności! pod jak uprzejmą i zwodniczą twarzą zbliżają się, jak długo pochlebiają, nęcą, ulegają sumieniu, nim wkradłszy się raz do domu naszego, nie obejmą zupełnie jego rządów. Wszystkie książki o uczuciu traktujące, najgłówniejsza treść poezyi, niémi jest napełniona.

Nie wejdę dzisiaj w ten labirynt, w którym miesza się działanie zmysłów. Oczy inne kolory, ucho inne tony, dotknięcie nieznane przedtém atłasy czuje. Powabne nadzieją, tęskne wspomnieniem życie nasze, od kolebki do grobu otaczają jak niewidome siły, jak nadziemskie istoty. Zmysłowa a mądra starożytność dla zaklęcia zgubnego ich wpływu nadała im boską formę, i wzniosła dla nich ołtarze. Odnowiciel duszy ludzkiéj odjął im bóstwo i podbił pod słodkie jarzmo Religii, niektóre z nich uszlachetnił i zaslubił wiecznym węzłem z sumieniem— i piętno świętości i cnoty jak prawo do wiecznéj nagrody im nadał.

Nie ma życia bez namiętności. One może tym są żywiołem i pokarmem, z którego dusza, jak z surowego materyału, wyrabia cnoty i występki, szlachetność i podłość, i te indywidualne rysy, któremi jak twarzą różnią się ludzie od siebie do nieskończoności. Pod ich dobroczynnym lub zgubnym wpływem, człowiek żyje i na drugich oddziaływa; od nich względna wartość człowieka zależy. Do zasługi i szczęścia potrzebne są namiętności. Rozum i sumienie nadają im szlachetny kierunek i cele; tego zbytku sił używają na dobro własne i bliźniego, lub ujmują one wędzidłem umiarkowania i Religii. Ta walka rozumu i sumienia z namiętnościami nazywa się *cnotą*; ugłaskanie zaś ich, tryumf nad sobą zgodny z rozumem i sumieniem, nazywa się mądrością.

Podział namiętności na podnoszące i zniżające życie, jest wielkiej wagi w zastosowaniu medyczném. Ten, który my podajemy, oparty jest na naturze źródła, z którego pochodzą, i mógłby przydać się w moralném zastosowaniu w czasie wychowania młodzieży.

Albowiem, zamiast nieskończonéj liczby namiętności, zwróci się uwaga na kilka głównych szczepów, z których pochodzą, a pod mistrzowską ręką przybiorą charakter i zmiany pożądane.

1. *Miłość excentryczna* z całą familią swoją:

a) Miłość Boga i jéj zboczenia: bigotyzm, zabobony etc.

b) Miłość bliźniego, rodzicielska, synowska.

c) Miłość płci drugiéj, i jéj zboczenia: rozpusta, rozwięzłość.

d) Miłość ojczyzny etc.! . . .

2) *Miłość koncentryczna* czyli własna i jéj zboczenia, stanowiące wielkie namiętności: próżność, duma, chęć znaczenia i sławy, współubieganie się etc.

3) *Nienawiść* jak oppozycya piérwszéj klassy, z całą familią swoją: gniew, zawiść, zemsta, okrucieństwo, zawziętość, podejrzliwość, pogarda ludzi etc.

4) Smak, chęci i potrzeby naturalne ciała skażone, że się zamieniają w gwałtowne na-

miętności. Tak gra, pijaństwo, obżarstwo, kradzież, chciwość, skąpstwo, marnotrawstwo etc.

5) Nakoniec odjemne czyli bierne, które właściwie nie są namiętnościami, ale zgubne ich skutki na duszy zostają. Takiemi są: próżnowanie, nieczułość, obojętność, niewiara, smutek, melancholia, rozpacz.

W stosownych klassach stopień natężenia odmienia ich nazwisko. Są, w których wola skażona wpływa na samo sumienie, w których sumienie, jakby uśpione czarodziejskim głosem Syreny, nie przemawia do duszy, obrażone grozi, a niewinne nie cieszy w udręczeniach.

Co sumienie robi wówczas, kiedy pod panowaniem którejkolwiek z nich dusza nie słyszy obcego głosu, pogardza obcém wołaniem, Bogu jest wiadomo! Sumienie ma swoje tajemnice, i natura jego pod pewnym tylko względem odkryta została. I tak np. młodzieniec ujrzał po raz piérwszy oblicze swego anioła, który zdaje mu się przez Stwórcę sa-

mego był dla niego przeznaczony. Nowy świat myśli, nowe i nieznane żądze zrodziły się w jego sercu. Zaczął nowe życie, pojął świata tajemnice, i własnego przeznaczenia najpiękniejszą kartę zrozumiał. Bóg pobłogosławił to nowe życie, sumienie uświęciło tę najczystszą emanacyą bóstwa. To miłość. Zatrzymajmy się chwilkę, zacznie się akt drugi. Rozognione młodzieńca serce, ślepe niewinnością anioła, nie postrzegło, że się zawiodło. Niezdolne samo do zdrady i zawodu, nieodgadło ich w przedmiocie swego kochania, i choć z Bogiem i sumieniem w zgodzie, wytrzymuje całą moc piekielnych mąk i udręczeń. Kochał szczérze, prawdziwie, i za to karę ponosi! Cóż na to sumienie? jaką pociechę nieszczęśliwemu przynosi? Ono często nie broni nawet od rozpaczy.

Drugi stracił przyjaciela, rodziców, ukochane i jedyne dziécię! Miał dosyć męztwa podczas ich cierpienia i konania, miał odwagę zamknąć im powieki i przeprowadzić ich do mogiły. Tam na modlitwie odstąpiła od-

waga, a gorycz życia, cierpienia duszy przybrały kształt prawdziwego nieszczęścia. Cóż na to sumienie? gdzie jego pociecha? czemu tych łez nie osusza? i z serca nie zdejmie téj żałoby, którą do śmierci nosić będzie miłość macierzyńska. To sekret Boga. Albo sumienie w zmowie jest z sercem, i udział biorąc w jego cierpieniach, samo przywdziewa żałobę, dzieli boleść, ale jéj nie zmniejsza.

Namiętności, jak zadawnione ciała niemoce, nie giną w sercu ludzkiém, ale się tylko zamieniają na inne, często na najprzeciwniejsze sobie. Kto tym wyborem decyduje? czy sumienie? a jeśli nie, jakaż jego rola w czasie podobnéj przemiany.

Godną uwagi rzeczą jest, że podobne przejścia dzieją sie tylko we właściwéj sobie familii; co dowodzi, że tylko forma się zmienia zewnętrzna, a choroba jest ta sama.

Tak światu oddana kobiéta, rozwięzłych obyczajów, zostaje dewotką pełną przesądów i zabobonów; skąpiec zostaje rozrzutnym, pijak obżartym, gracz pijakiem lub złodzie-

jem, próżniak nieczułym i obojętnym. Jednéj tylko miłości wolno wszystkie przybierać formy i przemiany, od anioła do szatana, od najpiękniejszego życia do śmierci — a wszystkie usiłowania filozofów i moralistów od początku historyi ludzkiéj do naszych czasów dla zogólizowania téj namiętności, pokazały się niedostateczne. Jest to namiętność we wszystkiém wyjątkowa, tak, że pojedyncze, o których piszą się ogromne dzieła, zaledwo zdefiniowane być mogą.

Interes, ten kodex wszelkich rachunków, płód potrzeby, a wychowanice samego rozumu, ważne miejsce zajmuje w życiu człowieka społeczném i cywilizowaném, i wzmianka o nim, choć krótka, w artykule o sumieniu może być stosowną.

Niegodny jest myślącéj i rozumnéj istoty ten ogólnik, że wszystko jest na świecie interesem i rachunkiem, nie wyjmując najświętszych związków serca, miłości rodzicielskiéj i synowskiéj, przyjaźni, miłości i wszelkich cnót nawet najszczytniejszych. Przesta-

ją być cnotami wówczas, kiedy się pod formę interesu podprowadzą.

Interes definicyi nie potrzebuje. Któż go nie zna własnym kosztem? Kto jego zimnych rachunków gorącemi nie opłakał łzami? Interes sam jeszcze nie jest występkiem; ale do niego równie jak namiętności doprowadzić może, i w całym biegu swoim za przeciwwagę ma sumienie. Pod panowaniem namiętności, tak często one identifikowały się z sumieniem, że głosy ich zlewały się w najzgodniejszy akord. Rachunków zaś wszelkich głos tak jest różny, że żadna nuta sumienia nie ginie, i w żadną zgodę wejść z niemi nie może. Sumienie, jak probierczy kamień, pokazuje probę wartości interesu, jego szlachetność lub nizkość, krzywdę lub dobrodziejstwo ocenia. Ten więc podział interesu na szlachetny i nieszlachetny zależy od własnego sumienia. Często się ludzkie oczy zaślepią, i interes hołd należny cnocie odbierze, ale sam człowiek będzie wiedział o dzieł swoich wartości. Ztąd zbrodnie same, pod wpływem namiętności po-

pełnione, więcej znajdują wymówki, jak zbrodnie interesu. Czynności dzieci i ludzi dojrzałych również po większej części różnią się tym charakterem.

W każdym interesie oprócz końca i celu rozróżnić trzeba sposoby, które na godziwe i niegodziwe rozróżnimy. Powaga naszej wiary i sąd naszego sumienia każe nam odrzucić niegodziwe sposoby, nawet kiedy prowadzą do otrzymania dobrego. Światu i ludziom czasem wydaje się inaczej. Ztąd owe uwielbienia, nieśmiertelne imie bohatérów, którzy krwią miliona ludzi piędź ziemi wydarli bliźniemu, albo garść złota z łona gór wydobyli. Może moralność mass różna jest od indywidualnéj; inna dla nich Ewanielia i prawa. Nie ośmialamy się o tém decydować.

Do interesu odnieśćby należało pod względem sumienia tę roztropność, czyli tę nieszczęśliwą konieczność wybierania z dwójga złego, którego potrzeba na nieszczęście coraz więcej czuć się daje w społecznym świecie. Co w takim razie robi sumienie? Przywdzie-

wa żałobę i samo płacze z człowiekiem, i łzy gorzkie niesie dla Dawcy wszelkiego dobra zamiast dziękczynnéj ofiary.

Jest nakoniec pewny rodzaj sumienia, które *nałogowém*, odjemném, umówioném nazwać można. Ono często uspokaja człowieka; ale go nie czyni ani doskonałym, ani nawet pożytecznym. Pod wpływem nałogów człowiek traci powoli tę siłę umysłową, która go tak wysoko wznosi nad resztę stworzeń, która go tak doskonałym czyni nawet w rzędzie podobnych sobie. Nałogi są stagnacyą w umysłowym i moralnym świecie. Machina do ruchu wprawiona po odjęciu nawet siły, jeszcze przez chwilę w kierunku nadanym posuwać się będzie; ale wkrótce ustanie, albo, co gorsza, wsteczną drogą iść będzie. Porównywali moraliści postęp człowieka do płynącéj łodzi przeciwko wody. Kiedy działanie wioseł ustaje, łodź cofa się z pędem wody. Podobnie te siły, których Stwórca naszemu rozumowi i sercu udzielił, ta moc woli, która zewnętrznym jednego i drugiego jest wyrazem,

jeśli nie pracują i nie ćwiczą się w dobrém, muszą w przeciwnym kierunku znaleźć dla siebie drogę: bo wszystko w życiu jest ruchem, bezwładność jest śmiercią.

Przykłady lepiej rzecz objaśnią:

Połowa ludzkiego rodu jest tego mniemania, że nie czynić źle jest doskonałością człowieka, idąc w tém więcéj za literą społecznych praw, aniżeli za prawem duszy i serca, które więcej nad to czynić nakazują. I sumienie ich, tą pozorną doskonałością ukołysane, może nawet przed swoim trybunałem pochwala siebie i za bierność żąda od siebie, od ludzi, od Boga nagrody.

Człowiek, jak ogniwko w łańcuchu stworzeń, potrzebami ciała i duszy opatrzony, i na pracę, jak moralny warunek doskonałości, przeznaczony, przez wszystkie religie świata na cierpienia i trudy życia skazany, których nagrodę, za granicą zmysłowego świata, w niebie, w raju, we własném otrzyma sumieniu; jeśli w jakikolwiek sposób unika pracy, czy to pod pozorem urodzenia, bogactw, dostojeństw,

lub innych tysiącznych zbutwiałego świata przywilejów, świat może go nazwać szczęśliwym i doskonałym. Sumienie samo nic mu nie wymawia, i innego rodzaju życia nie doradza. Takie sumienie jest zwodnicze, nałogowe.

Inny, kiedy spotka żebraka biédnego, nie odmawia mu wsparcia, jałmużny, i szlachetnie się uiszcza z długu miłości bliźniego. Ale kiedy żebrzącego nie widzi, nie pamięta że biédni są na świecie; a tém więcéj nie zechce odkrywać lub odgadnąć wstydliwéj nędzy, która nie smié ręki wyciągać. I sumienie, tą pozorną doskonałością ukołysane, spi spokojnie na łonie swojéj nieudolności.

Młodzieniec wychowany w pewnych przesądach stanu, przy sztucznym sposobie życia, jak przy tradycyjnym sposobie myślenia, rozumié się wyższym nad drugich, szlachetniejszym od drugich, panem świata, królem ziemi. I sumienie zachwycone, z lubością przymila się do przywłaszczonéj korony swojéj; a jednak mogłoby wiedzieć, że przy wol-

ném obieraniu, możeby nie było na trou powołane.

Zwyczajny przedmiot towarzyskiej rozmowy i kwiat jej, dowcip, co tak się podoba, tak zachwyca, tak jest pożądany, czémże jest innem, jeśli nie obmową pod najpowabniejszą postacią? Nie jest skutkiem złości, zemsty, lub osobistych widoków; bo wtenczas sumienie z letargu przebudzone surowszym odezwałoby się głosem. Ale jest tylko nałogiem, powabném przepędzeniem czasu, tematem do ćwiczenia się w wymowie i stylu. I sumienie uspokojone pozwala tak w szczegółach szarpać bliźniego, i nie karze za to moralne zabójstwo.

Główną rzeczą w prowadzeniu początkowém dzieci przez rodziców i w wykończeniu wychowania przez nauczycieli jest, ażeby nie mówiły nigdy o osobach, ale tylko o rzeczach. Natura jest niewyczerpana; ma swoję uczuciową i rozumną stronę; i myśl człowieka podniesie, ulepszy i zbliży do Boga, źródła i ideału wszelkiej doskonałości. Gdy przeciwnie

wieczne rozprawianie o śmiesznościach i wadach znajomych naszych, zniża umysł, piętno płytkości mu nadaje, i wszelkiego postępu jest nieprzyjacielem. Rzecz dziwna, że osoby z całym pokojem religijnym najwięcej tej wadzie są oddane, która chyba tylko przez sprzeczność i potrzebę ostateczności wytłumaczyć się może. I sumienie ich w zmowie z językiem potakuje, i jak prostą drogą idzie z pewnością témi manowcami; i zamiast drugich, samo sobie przyśpiéwuje piosnkę pochwał i uwielbienia.

Tysiąc możnaby przytoczyć nałogów, w których udział sumienia jest odjemny; w których rozum nie wzywa się na radę a na sędziego sumienie. Świat cywilizowany, świat zestarzały i zdziecinniały pomimo świętych kolumn swoich: Religii, rozumu i sumienia, gnuśnieje pod niewolą nałogów; i dzisiaj zwłaszcza, z miliona maleńkich usiłowań zaledwie znajdzie się jedna cokolwiek mocniejsza siła moralna, którą dawniej posiadały pojedyncze osoby. Sprężyny interesu tylko, są silne; bo

dyamenty i drogie kamienie naszego umysłu i serca przerobiliśmy na węgiel, parę i żelazo.

Dla zapobieżenia rodzącym się lub otrząśnienia się z nabytych nałogów, potrzebne jest człowiekowi *odnawianie się* czyli porównanie siebie ze wzorem doskonałości. Mistrz rodu ludzkiego, Chrystus, mówi o tém *zrzuceniu z siebie starego człowieka*, za jedyną drogę doskonałości tę przemianę naznaczając. W pewnych więc epokach życia, jak do zdania rachunków z administracyi tegoż życia, wezwijmy rozum, serce i sumienie; usuńmy na stronę uprzedzenia jakiegokolwiek nazwiska i powagi; zejdźmy nawet do jednostek życia, do prostych pojęć o naszej naturze i naszej Religii; odetnijmy z życia naszego pasorzytne wyrostki, odrodźmy się na życie nowe i przywróćmy sumieniu tę czułość delikatną, która się zużyła pod wpływem codziennego życia i nabytych nałogów.

Cóż jest człowiek doskonały? trudna odpowiedź dla wszystkich; ale któż nie miał w duszy swojéj tego ideału, jak najpiękniejsze

wspomnienie nieba, téj przeszłéj i przyszłéj duszy naszéj ojczyzny. Któż nie opłakał zniknienia tego ideału wówczas, kiedy ziszczenia jego szukał między ludźmi. Lecz on choć ukryty, jak świętość tajemna, nie znika w duszy chrześciańskiéj. Był czas, kiedy Ideał Doskonałości z nieba zstąpił na ziemię, przyjął formy człowieka i wszystkie koleje życia, nie wyjmując boleści duszy, cierpień ciała i śmierci, wszystko zniósł dla naszego przykładu i nauki, i od zdziwionego świata wpośród mąk w chwili skonania otrzymał wykrzyknienie: Oto człowiek.

Co są jednostki życia? Są te potrzeby nieliczne ludzkiéj naturze wrodzone, których zaspokojenie tak łatwe i proste, a ich rozciągłość od Boga i natury oznaczona. Jest to kilka przyrodzonych praw człowieka, zasady towarzyskiego życia, których zastosowanie zrodziło wszystkie kodexy na świecie. Proste pojęcie Religii jest również kilka prawd z nieba nam objawionych, jako zasada mądrości i szczęścia człowieka.

Wszystko to Chrystus w odnowieniu człowieka przewidział, oznaczył i nauczył. Oby tłumacze jego boskiéj woli równie zrozumieli świętość i mądrość jego zamiarów, i oby wszystko nie kończyło się na pięknych wyrazach, które rozczulają duszę i łzy wyciskają, ale niezmieniają człowieka. Bo między warunkami duszném reformy, zwłaszcza dla wyjścia z nałogów, potrzeba nieraz naprzód sprostować własne sumienie.

Rozum jest najszlachetniejszym przymiotem duszy, ale nad rozum wyższe jest sumienie. Z połączenia rozumu z sumieniem rodzi się mądrość, najwyższy stopień doskonałości człowieka, nad którą nie ma nic doskonalszego na ziemi.

W.

Opinia.

Wymiarem boskiéj i ludzkiéj sprawiedliwości nazwać się może wykazanie przed światem dobrych lub złych czynów człowieka. Oddalającemu się słudze wydajemy świadectwo o jego postępowaniu i ostrzegamy tym sposobem panów. Dla czegożby równém prawem miłości bliźniego słudzy nie mieli świadczyć o panach swoich, i oznaczać ich przed światem imieniem dla nich właściwém?

Tylko sąd ten powinien być dojrzały, bezstronny, sumienny, nie w chwili uniesienia, nie pod wpływem osobistości, ale po wieloliczném na sobie i drugich doświadczeniu, jako przekonanie i nauka dla braci. Cóż innego jest historya, jeśli nie zapisywanie ludzi odżyłych w księdze zasługi lub występku? I, co ona dla następnego pokolenia wyświadcza, to opinia nieuprzedzona, sprawiedliwa, dla poprawy lub upamiętania się żyjącego wyświadczyć może. Jeśli rozum, sumienie, Religia, miłość bliźniego wrodzona, prawa towarzyskie, słabo działają na skażone i występne serce; to przynajmniej opinia, to piętno postrachu i hańby, jak szelest grzechotnika, ostrzegać będzie o zbliżeniu się potwory.

Kiedy uczony badacz natury po wieloletnich doświadczeniach odkryje dobroczynne lub jadowite rośliny działanie, ogłasza światu, jak najpiękniejszy czyn miłości bliźniego, swoje odkrycie; dobroczyńcą rodu ludzkiego zostaje. Kiedy ukąszony od psa wściekłe-

go ostrzega sąsiadów o niebezpieczeństwie, swojém cierpieniem, a może i śmiercią, staje się dobroczyńcą okolicy.

Opinia sumienna, sprawiedliwa, jest tym jasnym wieńcem błogości, który otacza głowę cnotliwego człowieka, lub tém piętnem hańby, które ciąży na jego czole ołówiem potępienia. Jak cień nieodstępny ściga człowieka, który zawarł przymierze z sumieniem swojém, a w nocy, jak echo szydercze, powtarza rozmowę myśli i najskrytszych uczuć człowieka. Ktoś znajomemi sobie narkotykami uspił, co tylko się w nim znajdowało sprzecznego jego żądzom; sam głos sumienia przytłumił, że już snu jego nie przerywa; nowy chrzest nadał występnym czynom swoim: dumę nazwał godnością człowieka, zemstę nazwał sprawiedliwością, nieużytość nazwał powagą stanu, obłudę nazwał roztropnością, swoje osobiste widoki nazwał dobrem ogólném, i to obrzydliwe potomstwo szlachetnych imion karmi, pieści i ogrzewa na swojém łonie, jak żmija swe dzieci. Ktoś pozorem

olśniony, temu chytremu wężowi, temu złotemu cielcowi wzniósł ołtarz i złożył korną ofiarę łatwowierności lub oszukania, spalił kadzidło płytkich pochwał, owoc płytszego jeszcze rozumu swojego. Dym śmieciska uwędzi tę obrzydliwą gangrenę serca ludzkiego, ale jéj trucizny nie odejmie. Przyjdzie czas, który odkryje, znajdzie się badacz, który wytłómaczy tę meteorę, że więcéj dziwić i straszyć ludzi nie będzie. Tym badaczem i tym czasem będzie opinia.

Jeden człowiek drugiemu człowiekowi opinii zrobić nie może, nabytéj odmienić nie potrafi. Ona jest zbiorową liczbą wielu postrzeżeń, wypadkiem sprawdzonym współczucia całéj okolicy, całego kraju; i, jeśli małe rzeczy do wielkich przyrównywać się godzi, opinia jest Religią pojedynczą, w którą czy kto wierzy, czy nie wierzy, musi jednakże uledz jéj potępieniu, jeśli się nie potrafił cieszyć jéj darami.

Czy opinia przeciwną jest miłości bliźniego? Wątpliwość dusz delikatnych. Lub

czy zawsze potrzeba śmierci człowieka, ażeby była doskonałą? wymaganie towarzyskich purystów. Są to, dwa pytania, które ostateczne końce wielkiego łańcucha spajają, a w istocie są probierczym kamieniem i niewidomą strażą naszego i cudzego honoru, jako najdroższéj człowieka własności. Mówimy o niebie, o gwiazdach, o światach, rozbieramy własności ciał nieorganicznych, rozprawiamy nakoniec o sile ludzkiego rozumu, o bogactwie, kształcie i rozmaitości uczuć. Cóż przeciwnego byłoby godności człowieka użyć tych samych sposobów do ocenienia ludzi, z któremi potrzeba, konieczność, kazały nam mieć stosunki, których los umieścił w kierunku naszéj drogi, których wszystkiémi zmysłami i umysłem postrzegać, oceniać i oznaczać możemy. Przyjdzie czas, że człowiek nosić będzie między ludźmi to miano, które mu towarzyskie bierzmowanie nada, i tym sposobem powróci jeden pożyteczny obyczaj mądréj starożytności.

Cożeśmy zyskali przez tyle wieków cywili-

zacyi? Wygładziliśmy korę, okrzesaliśmy gałęzie tego drzewa, ale nie zmieniliśmy jego wewnętrznego skażenia; utworzyliśmy piękną i powabną postać, pod którą złość, przewrótność, panowanie złego początku, ducha ciemności, rozszérza się i uwiecznia na świecie. Czyż niewoluo będzie skazanemu na śmierć wymienić téj nieznanéj lub opuszczonéj przez sędziego okoliczności, którą życiem płaci. Czyż niewolno będzie zdjąć téj maski, którą strojna obłuda odbiéra hołdy należne cnocie i dobrym czynom? Wszystko, co prawdę wyświéca, co zapas naszych wiadomości wzbogaca, co ludziom w naszych czasach trudną drogę spokojności i szczęścia ułatwia, nie może być przeciwném miłości bliźniego; owszem jest może najszczytniejszą jéj postacią.

Że śmierć sama i jéj gorzki owoc, zapomnienie małych niedoskonałości człowieka, życia całego treść, jak sok z wyciśniętéj rośliny, jedném imieniem, jedną przyodzieją formą, sprawiedliwą nawet i bezstronną; to

jeszcze nie dowodzi jakie było życie, jaka roślina, która ten sok wydała.

I za grobem człowieka próżność nie umiéra; świadkiem tego wspaniałe marmury, szumne napisy dla umiérających ziemi bohatérów, dobroczyńców ludzi. Wiémy co w stylu nagrobkowym znaczy: *Wielki*, *Śmiały*, *Cnotliwy*, *Ojciec sierot* i t. d.

Życie ze szczegółów się składa, i szczegóły są wymiarem ludzkiéj wartości. Złe środki choćby do najlepszych prowadziły skutków, zawsze są niegodne, zawsze nizką duszę oznaczają. I nakoniec, co z daleka jest pięknem, nie takiém było z blizka przy doskonalszém poznaniu szczegółów. Co w malowidle jest zachwycającém, nie zawsze jest takiém w naturze. Historya zatém nie zawsze jest niemylnym sędzią naszych dziejów. A nakoniec nie wszyscy zasługujemy choćby na nieznaczącą kartę przyszłości.

Jakież są cechy prawdziwéj opinii? Odrzućmy na stronę przypuszczenia idealnéj na ziemi doskonałości, jako niezgodne z do-

świadczeniem wieków. Wszystko jest względne, zacząwszy od zdrowia ciała do zdrowia duszy, od występku do cnoty, od pojęć do uczuć, od szczęścia do nieszczęścia. Tą prawdą przejęci, i ten warunek do wszystkich działań ludzkich stosując, często w niepomyślnym nawet upadku odkryjemy cnotliwe chęci; wadę rozumowania rozróżnimy od wady serca; wpływ namiętności od rachunków przewrotności i skażenia. Tak wady ukochanéj osoby, doświadczonego przyjaciela, nie zawsze odwracają serce nasze: bo w postępowaniu ich nauczyliśmy się rozróżniać ich rozum od serca.

Błąd lub prawda jak dzień i noc stworzenia rodzą się w naszym umyśle. *Dobre i złe*, rodzice cnoty i występku, pochodzą z serca. Z poczwórnego tych wyrazów połączenia za pomocą woli, w najogólniejszém znaczeniu powstają cztéry główne formy wartości człowieka i cztéry główne podstawy sprawiedliwéj opinii.

1. Ktoś robi dobrze, wiedząc, że co robi,

jest dobre. Najszlachetniejsza forma umysłu i serca.

2. Robi dobrze nie wiedząc o tém, ale instynktem, prowadzony jak dziécię, jak chorzy, jak na umyśle słabi i t. d. W tej kategoryi szlachetność serca jaśnieje przed siłą umysłu.

3. Robi źle nie ostrzeżony od rozumu o błędzie. Wada samego serca.

4. Robi źle z przekonaniem, że co robi, jest złe. Najohydniejsza postać skażonego umysłu i serca.

W tej krótkiej metodzie widzimy, że cała wartość działań zależy od serca, rozum im sankcyą nadaje, uszlachetnia one we własném widzeniu, ale natury ich nie odmienia.

Teraz obaczmy w praktycznem zastosowaniu jak rozróżnić rozumowanie od serca i serce od rozumowania, ażebyśmy nie byli podobni do tego, co spytał się Chrystusa, co jest prawda? a nie czekał odpowiedzi. W każdéj bowiem opinii odgadnienie serca główną jest rzeczą i sztuką.

Wielkie wprawdzie ma przeszkody rozum i serce w objawieniu przed ludźmi swego udziału. Prawa społeczne, których jarzmo na siebie od dzieciństwa przyjęliśmy, zwyczaje, przyzwoitości i wymagania, których ciężar świat na nas poniewolnie wkłada, a złamanie ich szyderstwem i śmiesznością karze, zależność naturalna od rodziców, od władzy, od panów, od osobistego zobowiązania się, od zawikłanych, a często i dziwacznych prawideł honoru, nakonicc obawa o własną exystencyą, drogi interes własnéj familii, domu, w tysiączny sposób modyfikują działania rozumu, wynurzenia serca. Tą modyfikacyą jest rozsądek czyli roztropność. Ale jak forma lekarstwa lub jego zasłodzenie niepowinno zmieniać natury działania, tak i rozsądek nie powinien przeinaczać wzniosłych pomysłów rozumu, szlachetnych uczuć. Ale nadać im tę szatę godową, którą strojne wejdą łatwiéj między ludzi; te rysy powabne, które ujmą rozum i serca poczciwych, samych nieprzyjaciół rozbroją. Błą-

dziłby zatém i mylił się grubo, ktoby samę formę wziął za istotę, i na swoich przywidzeniach oparty, chciałby dla siebie lub dla kogoś budować opinią. To podobne byłoby do zwyczajnego wyrażenia chorych, którzy zapytani, jakie brali lekarstwa, odpowiadają, że zażywali proszki, pigułki i t. d. Taka odpowiedź niewiele uczy pytającego.

Sprawdzeniu jednakże uledz powinna, ażeby piętno świętości otrzymała: 1. Opinia gwałtownie nabyta, któréj widać świetny płomień i piękne kolory, ale niewiadomo jaka materya tak jasno się pali. 2. Opinia przez kobiéty rozdmuchana, podobna do pięknéj bańki. Biada temu, ktoby rzucił rękawicę podobnéj opinii! Pomilczmy trochę— meteora przeminie, albo zamieni się w jasną planetę. 3. Wychodząca z natury obyczajów wieku: tak szczérość dworaka, świetne obietnice panów, poczciwość bigota. Wszystko to być może; nie szkodzi jednak przypatrzyć się tym cudom zblizka.

Są jednakże zdarzenia, w których żadna

maska nie ukryje podłości postępowania; a jeśli ukrywa, ta tém więcej jest zbrodniczą i świętokradzką. I tak niewiadomość praw w zwierzchniku, w sędzi, poświęcenie bliźniego na ofiarę swej dumie, swoim widokom, niewypłacenie zaciągniętego długu, rozpoczęcie processu z łatwowiernym kredytorem, podstępne zniszczenie sąsiada, skrzywdzenie sługi w zapłacie, zaniedbane wychowanie dzieci przy dostatku i t. d. Bóg sądzi serca i nagradza, lub karze w tém jeszcze życiu pokojem i szczęściem, lub zgryzotą i pogardą u ludzi. Ależ i głos ludu jest głosem bożym; a jeśli każda istota zbiorowa nie ma serca, to nawzajem massa zbiorowa rozumu i postrzeżeń jest większą i pewniejszą. Od jéj sądu nie ma appellacyi, chyba do Boga samego. Kiedy więc glos publiczny na kogoś woła, pozostaje uderzyć się w piersi.

Najohydniejsza natura występku i zbrodni jest ta, którą świętość stanu, wysokość znaczenia i wpływów broni od pocisków samego rozumu i przekonania.

Ten w imię Boga podpala stos, na którym płonie miła czartu ofiara jego płaskiego rozumu i podlejszego od najpodlejszych zboczeń natury serca. Tamten kładnie nóż na gardle przyduszonej ofiary, która już nie ma głosu na swoję obronę, a łez i świętego milczenia płytki jego umysł nigdy nie rozumiał. Tamten przywiazanego do pręgierza ludzkich przesądów kamienuje księgami praw: bo te wszystkie formy jego potępiły; a sędzia był tylko machiną do rzucania podobnych pocisków.

Tu więc opinia jest przeciwwagą praw, jest wołaniem krwi niewinnej o pomstę, często jedyną naszą na ziemi obroną i nagrodą. Ona stawi krzyż, gdzie wzniesiona była szubienica, i uwiecznia to imię, które dla ludzkich przesądów nie przeszło w dziedzictwie do potomności. Taka opinia jest najczystszą emanacyą Boga, nie ujarzmia, ale wyzwala ludzi; jest tym aniołem-stróżem, który nas broni od przygód, i który za nas odpowie przed Stwórcą.

Sen.

Śniło mi się, żem zbywszy ciała, wewnętrzną moję istotę w świetle zobaczył. Przy mnie stała inna podobna, nieustanném błyskaniem rażąca. ,,Na dwóch, rzekła do mnie, unoszę się skrzydłach. *Tu* i *tam*, te dwie myśli lotem moim kierują. Myśl i leć razem ze mną, a pokażę ci świat cały." Poleciałem. Wnet za mną kula ziemska runęła w przepaść, z naszego nieba pozostało tylko słońce, jak gwiazda słabo przed blizkim kometą błyszcząca. Na-

koniec nasze słońce, gwiazdy i mleczna droga, były pod stopami naszémi jak plama mglista, wśród drobnych ciemnych obłoków. Tak lecieliśmy przez gwiazdziste pustynie; niebiosa jedne po drugich to się rozszérzały, to znów zwężały za nami. Lecz gdyśmy tak z jednej w drugą przepaść wpadali, gdy ciągle słońca w oceanie słońc ginęły jak ulewy w morzu, upadłem na sercu i zapytałem przewodnika: ,, Czyliż świat ten nie ma końca."

Wtém nagle ukazało się niebo czcze: ani jedna gwiazda nie błyszczała w ciemności; jużem pomyślał, że się świat skończył. Zląkłem się tego więzienia nocy bez granic, zadrżałem na widok martwego morza nicości. Niedowiarku! zawołał przewodnik, spójrzyj, masz dawne światło przed sobą. Spójrzałem—zrazu brzask, potém droga mléczna, potém całe błyszczące gwiazd sklepienie. Myśl nie podoła szybkości tych trzech momentów. Od lat tysiąca szło do nas to światło, i nakoniec weszło na niezmierzoną wysokość. Tuśmy lecieli po nad nową gwiazd kulą. Znowu noc

bezgwiazdna. Lecz gdyśmy tak nocy i nieba przemieniali i coraz dłużej w ciemni w górę lecieli, nagle ujrzeliśmy się przed północną zorzą palących się słońc, a wkoło nas po wszystkich ziemiach dni sądne gorzały; i gdyśmy się unosili w okropnych otchłaniach, w których nad nami nadziemskie oceany huczały i grom się przetaczał, gdzie ciemne jak ołów ciało słoneczne wsiąkało w siebie płomienie i słońca, samo nie stając się jaśniejszém, i gdym w nieprzejrzanéj dali ujrzał za niém górę błyszczącego śniegu ze zwalonych słońc powstałą, a nad nią jeszcze lśniła się mléczna droga, ugiął się duch mój pod ciężarem ogromu; rzekłem: nie prowadź mię daléj. Świat pełny jest wielki, świat czczy jest jeszcze większy. Dotknął mię na to mój gieniusz jak gorące tchnienie, i rzekł łagodniej niż przedtém. Przed Bogiem nie ma czczości, lecz duch twój potrzebuje ziemskich obrazów; w nich ci się odbije nadziemskie. „Patrz na nie.” Otworzyły mi się oczy, ujrzałem morze światła, w którém słońca i ziemie jak czarne ska-

ły sterczały — nigdzie dna, nigdzie brzegu. Morza nad i pod morzami zdawały się igrać; to grzmot, to harmonia zdawała się odbijać. Modły radości były znakiem powszechnego życia. Tu przewodnik mój zniknął, zostałem samotny i tęskny. Ciemna jakaś kula wynurzyła się nad wszystkie gwiazdy. Na niej stało dziécię. Poznałem naszę ziemię i Chrystusa. Pójrzał na mnie tak łagodnie, tak lubo, żem się obudził i dziękowałem Bogu za życie na ziemi i za przyszłe bez niéj.

Franciszek Malewski.



Czém nie jest i czém jest Filozofia.

Wyjątek z rozprawy Józefa G.

Kiedy publiczność przydomkiem filozofa tak hojnie szafuje, iż go i tym, którzy ledwo gran jeden filozofii posiadają, a nawet i tym, którzy się na drodze jéj zupełnie przeciwnéj znajdują, przyznaje; wypada słusznie takie nadużycie skrócić, aby i profanacyi tak świętéj nauki zapobiedz, i wyjaśniając czém ona nie jest, lepiéj dać poznać czém ona jest.

U publiczności, o bardzo małym koszcie można zostać filozofem. I tak: kto na jaki nieprzyjemny wypadek jest obojętnym, choć tylko może przez lekkomyślność, roztrzepanie, bez najmniejszego wysilenia się, wreszcie przez samę ludziom płochym zwyczajną niedbałość, już jest filozofem; jak gdyby filozofia na tém się zasadzała, żeby na nic nie uważać, a nie raczéj na tém, żeby wszystko uważać i prawdziwą wartość wszystkiemu naznaczyć; na tém, żeby zwyczaje niewinne obalić, a nie raczéj na tém, żeby je owszem podpiérać. Kto tego rodzaju jest, iż go ani ziębi, ani grzeje, iż ani płacze, ani się śmieje, tego także zrobią filozofem, jak gdyby filozof miał być kawałkiem drzewa; ten, który właśnie powinien posiadać najwyższą czułość, aby najdelikatniejsze cieniowania mógł postrzedz. Ale zaślepienie do tego stopnia przyszło, iż nawet tych, którzy obrządki religii wyśmiéwają, że dla głupiego tylko gminu postanowionemi być twierdzą, na objawienie powstają, nieraz tak w uczonym jak

nieuczonym świecie równie filozofami nazwanych słyszeliśmy, i jeszcze nieraz słyszymy. Jeżeli tamte przekręcania do śmiéchu raczéj pobudzały, to już to ostatnie, będąc najwyższém naszéj nauki znieważeniem, w każdym ją miłującym gniew największy wzbudzić musi. Wyznać wprawdzie należy, iż wpadła niegdyś banda łotrów do naszej nauki, którzy pokradłszy niektóre formy i sprzęty filozoficzne, rzeczy bowiem saméj przecież znaleźć nie mogli, świat niemi w perzynę obracać zaczęli. Ta to banda mieczem i ogniem pustoszyła krainę ideów i wiary, a obaliwszy to, co najsilniejszą było podporą życia, w głuchą ją obrócili puszczę. Ta to banda pod płaszczykiem filozofii targnęła się na religią, ona to człowiekowi to wydrzeć usiłowała, co mu jest najdroższego, z początku go fantomem jakiejś czystéj moralności, któréjby objawienie niepotrzebném było, łudząc, potém i z tego go wyzuwając, wszystko do własnego interesu sprowadzając. Nastały potém nieszczęśliwe czasy oddalenia się ludów od Boga, a w miej-

scu hymnu dał się słyszeć ryk ponury materyalizmu i dzikie krzyki rewolucyonistów. W tém widzimy do jakiego stopnia może się posunąć bezczelność ludzka, i jak bezkarnie w oczach całéj publiczności obcego nadużywać można imienia. A jeżeli takowe bezprawia choć jakąkolwiek filozofią nazwać można, to dowodzi zarazem, jak nikczemne rozum ludzki w téj nauce wydaje płody, skoro tylko od religii odpadnie. Jest to niezgrabna łatanina najpłytszych i najgnuśniejszych myśli, czcze marzenia powierzchownego mędrkowania, w któréj najmniejszego śladu wyższego natchnienia nie widać. Możeż np. w filozofii coś być niedołężniejszego, jak tak nazwany Dykcyonarz filozoficzny? Wszakże to tylko jest zmiatanie samych śmieci filozoficznych, łapanie tego wszystkiego, co tylko płytkiemu i złośliwemu człowiekowi na piérwszy rzut oka i samopas do głowy przyjdzie, bez najmniejszego ładu i składu. Nie mogła filozofia większéj klęski ponieść, jak że tylu podobnych pisarzy, którym prawdziwa filozofia

zupełnie jest obca, za filozofów przed półuczoną publicznością udać się potrafili. A że to, co jest płytkiém, większéj liczbie jest dostępne, jak to, co jest głębokiém; fałszywi zatém filozofowie więcéj znaleźli czytelników, aniżeli prawdziwi. Ztąd też pochodzi, iż większa część czytającéj publiczności filozofią z najfałszywszéj zna tylko strony i zupełnie sobie coś innego pod tém nazwiskiem wyobraża, jakby sobie wyobrażać powinna; ztąd też u wielu osób filozof a człowiek bez religii jest wszystko jedno. To wszystko zaś dowodzi, w jak grubéj i ciemnéj niewiadomości co do naszéj nauki publiczność jest pogrążona.

Prawdziwa filozofia do Najwyższego prowadzi. Która tego nie czyni, nie jest filozofią. Nie jest także filozofia czczą abstrakcyą i próżną szperaniną, ale owszem najwyższém życiem, samém źródłem życia. Jeżeli bowiem prawdziwe życie nie na tém się kończy, by tylko rękami i nogami ruszać, krzątać się po téj ziemi i tysiączne zatrudnienia w celu zaspokojenia piérwszych potrzeb lub uprzyjemnie-

nia bytu swego przedsiębrać, jeszcze i to do życia należy, a nawet najszlachetniejszą jego cząstkę stanowi, rozmyślać cuda stworzenia, dokopywać się ostatniej wszystkiego zasady, odgadywać tajemnice świata, unieść się do wyższej sfery, widzieć przed sobą rozpostartém wszystko, zajmować się najwyższemi przedmiotami, zastanawiać się nad moralnością, urządzać postępowanie człowieka, i BOGA wszędzie szukać. Jeżeli i to, mówię, do życia należy, wówczas nasza nauka będzie najwyższém życiem; taka nauka każdego, którego ożywia, unosi za sobą i w odpowiadających czynach się wypiętnuje. Dla tego łatwo ją po jéj owocach poznać. Skoro tylko nie uzacni życia i nie nada mu kierunku niebiańskiego, skoro tylko gminne postępowanie i nikczemne przez nię przebijać się będzie, bądźcie pewni, iż to nie jest filozofia, ale małpowanie onej. Kto się nią trudni a do wyższego życia się nie unosi, nieinaczéj jest jak ów służalec w komedyi w pańskie przybrany suknie, i niby to pana udający, ale we wszyst-

kiém prostackiemi swemi poruszeniami się zdradzający. Do filozofii tylko przez ciągłą i staranną całego siebie uprawę dójść można. Nakoniec, nie jest filozofia samą zbieraniną ze wszystkich nauk poczynioną, za co ją niektórzy poczytywać się zdają, gdy twierdzą, iż tylko téj lub owéj nauki filozofia, *np.* matematyki, fizyki być może, odrębnie zaś od innych nauk jéj cale nie ma. Lubo do gruntownéj filozofii, znajomość ledwo nie wszystkich nauk jest potrzebną, ponieważ prawdziwy filozof ciągle świat cały powinien mieć przed oczyma, jednak podobne twierdzenie, znoszące ją jak naukę osobną, zupełnie jest fałszywe. Można bowiem wszystkie nauki znać, a z tém wszystkiém o filozofii ani wyobrażenia nie mieć; wreszcie BÓG, nieśmiertelność duszy, urządzenie naszego życia, natura człowieka, zastanowienie nad działaniem umysłu, w którym się wszystkie nauki tworzą, nie sąż to przedmioty, których, aczkolwiek są tak ważne, żadna inna nie tyka? Mogłażby ona nawet w jakimkolwiek szczególnym przedmio-

cie coś stanowczego wyrokować, gdyby wprzód nie dokopała się ostatecznych zasad i ogólnego nie ułożyła sobie systemu? Jest ona jak źródło, które z początku samo dla siebie bije, potém na różne strony się rozlewając, wszystko żyzném czyni. Taką mianowicie filozofia grecka była, która na ożywienie wszystkich innych nauk tak znakomity wpływ miała. Ledwo nie wszyscy filozofowie greccy i ledwo nie wszyscy znakomici wszystkich wieków i narodów, w innych naukach niepospolite położyli zasługi, a do stanu filozofii w każdym narodzie stan wszystkich nauk zawsze się stosował; w czém mamy historyczny dowód, jak wielkie jest znaczenie naszéj nauki. To wszystko cośmy dotąd mówili, miało do tego służyć, ażeby o filozofii dać jakiekolwiek wyobrażenie. Możeby takoż o jéj pożytkach mówić wypadało, lecz w téj materyi bardzo krótko odbyć można. Użytek jakiéj rzeczy sądzi się po zdolności onéj zaspokojenia jakiejś potrzeby; kto nie czuje téj potrzeby, temu też rzecz niepotrzebna, a zatém nieużyte-

czna. To do filozofii stosując, ona tylko temu pożytek przyniesie, kto czuje głęboko potrzebę zgłębiania siebie i tego, co go otacza; temu zaś, który jéj całe nie czuje, nadaremną jest rzeczą o tém rozprawiać, gdyż te korzyści są tak delikatne, tak mało w zmysły wpadające, iż duszy z letargu jeszcze nie obudzonéj i żadnego wyższego dążenia jeszcze nie mającéj, dla tego, że jéj są zupełnie niezrozumiałe, muszą się wydawać wcale nieznaczące. Filozofia rozprzestrzenia granice życia, znosi tamy, które bieg jego wstrzymywać mogą, podaje je naszéj mocy, oswobadza duszę z więzów, które na niéj ciężyły, wydobywa jéj działanie z pod panowania trafu i poddaje je rozumowéj wielkości, wyprowadza go ze ścieśnionych dolin na wysokie wzgórze i daje mu okiem obejmować rozległe widoki, ożywia ona umysł, rozwija w nim najwyborniejsze zarodki, oddala od niego ów rój drobnostek, któremi od urodzenia bywa zasypywany, i przejmuje go wyniosłemi myślami, przeléwa ona do serca człowieka świat ten piękny, —

już w nim nic gminnego miejsca znaleźć nie może, otacza go wyniosłemi ideami, podnieca jego czynność, odwraca od zatrudnień żadnéj wartości niemających, i prowadzi do wyższego celu; ona sprawia, iż człowiek w rozrywkach i zabawach tego życia o wieczności, o jego przeznaczeniu nie zapomina, uzbraja go w moc nad sobą samym i nad zmiennością losu, zaprowadza do jego działania i myślenia rozsądny układ i porządek w miejsce bezrządnéj dowolności i nadaje czynom jego piętno wieczności, odwodzi go od występków a zajmuje dla cnoty, wznosi go ku Bogu i sprowadza go na łono religii. Szlachetne uniesienie i wyższe natchnienie, moc i wytrwałość, stałość duszy i niezłomność, spokojność i umiarkowanie, oto są przymioty, któremi ona człowieka zdobi i uszczęśliwia. O szczęsne chwile! kiedy walka sprzeczności ucichnie i wieczny pokój panować zaczyna, kiedy dusza wszystko przenika i boską wszędzie harmonią pojmuje, kiedy słyszy poniekąd jak światy w przestrzeni niebios krążą, podchodzi swą uwagą naturę,

widzi wobec siebie duchy zgasłych bohatérów, poglada w otwartą dla siebie przeszłość, i wzrok pełen przeczucia rzuca na zasłonę przyszłości.

Kto jednak te wszystkie korzyści z filozofii chce odnieść, zupełnie się nią przejąć musi. My tu tylko początki tej nauki przejść możemy; jeżeli zaś kto prawdziwe do niej poczuje powołanie u siebie, ten na tém przestawać nie może, lecz daléj posuwać się musi. Drogę tylko wskazać można, nic więcéj; o resztę każdy sam własnodzielnie ubiegać się musi. Nie wszyscy też, co zaczynają, także i do końca dójdą, ale różni w różnych odległościach w stosunku do różnego usposobienia na drodze ustają. Filozofia, do jakiéj kto dójdzie, jest wypadkiem całego jego życia, wszystkich dróg, przez które go Opatrzność prowadziła, wszystkich radości i niedoli, jakich doznał, wszystkich nauk, do jakich się przykładał, różnych położeń, w jakich się znajdował. Z tego wszystkiego tworzy się ogólna massa, z któréj się filozofia wyrabia; żeby więc jaki system

zupełnie komu dać zrozumieć, nie dosyć jest takowy mu tłumaczyć, aleby go wypadało jeszcze przez wszystkie te potajemne ścieżki prowadzić, przez jakie umysł i serce tego były prowadzone, który utworzył. Inaczéj potrzeby wielu rzeczy nie uczuje, innych całe nie będzie umiał cenić. Jeżelibyście, rozpatrzywszy się w początkach filozofii, tę naukę potém daléj zgłębiać chęć w sobie czuli, to od niczego was tak nie przestrzegam, jak żebyście w niéj na małych rzeczach nie przestawali, ale do najwyższego szczytu się wspinali. Są wprawdzie tacy, którzy ustawicznie na dalsze posuwanie się umysłu ludzkiego w filozofii krzyczą, którzy sami jak najbliżéj gminnego sposobu uważania rzeczy zostając, ustawicznie mierność zalecają, którzy ustawicznie wszelkie wyższe usiłowania jako niepotrzebne marzenia opisują; ja zaś powiadam, iż wszelka filozofia, która na niższych zostaje szczeblach, zawsze mniéj więcéj z religią będzie w sprzeczności. Filozofia zaś, która do ostatniego doszła szczebla, zupełnie się z religią łączy

i zupełnic się na tém co i Religia kończy. Nie ma nic gorszego w téj nauce, jako zostawanie w pół drogi. Ztąd się rodzi owe mędrkowanie, owe głupie o sobie rozumienie, owa śmiałość bezczelna sądzenia o najwyższych rzeczach bez zgłębienia ich, owa próżna jeżeli nie szkodliwa gadanina. Taka pół-filozofia jest w prawdzie zrozumialsza i popularniejsza; zda ona wam się od razu powolniejsza, ale wkrótce okaże się ona w waszych umysłach, jako próchno leżeć będzie martwa. Głowę tylko napełni błahemi rozumowaniami, ale ani życia waszego nie podniesie, ani wyniosłém uczuciem serca waszego nie ogrzeje, ani żadnéj wielkiéj myśli w was nie obudzi. Patrzéć będziecie przez taką filozofią na świat, to wam z niego trociny zrobi i niemi ten najpiękniejszy pomnik boskiéj mądrości zasypie; patrzéć będziecie na życie, to wam go drobiazgowemi wyobrażeniami przyćmi, tak, iż ani głębi onego, ani szczytu, ani jedności onego, ani tego wszystkiego, co tkwi w téj jedności, nie ujrzycie; patrzéć będziecie na

sztukę, to wam ją pomąci tak, iż wam na wieki ukryte będą jej tajemnice; patrzéć będziecie na religią, to ta będzie bez czucia, bez wiary, bez tej prawdziwie niebieskiej rozkoszy, jaką się napawają umysły w Bogu żyjące. Niejeden wam może powié, że to mistycyzm; i w rzeczy saméj jeżeli oczy zamkniemy, to wiele rzeczy dla nas będzie mistycznych. Kto np. światła nigdy nie widział, dla tego wszystko będzie mistycznem, co inni o świetle mówią: równie i w filozofii kto nigdy nic wyższego nie uczuł, kto się na ten świat tak tylko jak ów patrzy, któremuby wszystko, co jest wyniosłém, z piersi było wyjęte, którego ten widok nigdy nie wprawił w zachwycenie jakieś, dla tego niejedno słowo, niejedno wyrażenie, nie jeden sposób tłumaczenia się będzie mistycznym. Idzie tu tylko pytanie o to, czyli dla tego, że ktoś ma pierś z wszelkiego natchnienia zupełnie ogołoconą, wypada filozofią zredukować do błahych rzeczy, do klejenia samych tylko wyobrażeń względnych, do saméj tylko maszyne-

ryi umysłowej bez czucia i bez życia; czyli dla tego, mówię, wypada ją pozbawić tego wszystkiego, co chociaż trudne i nie lada komu przystępne, jednak tę naukę czyni prawdziwie wielką i boską?



Obraz matki chrześciańskiéj.

Bóg dał niewiastę za towarzyszkę mężowi, ubłogosławił ją, aby była matką, wlał w jéj serce niczém nieprzezwyciężoną miłość ku dzieciom, i uczynił ją dla nich swojéj Opatrzności narzędziem. Jak tylko w obliczu pańskich ołtarzy z naznaczonym sobie od Boga połączyła się ślubnym pierścieniem, jako ogniwem nierozerwanego związku; już odtąd dwoje są w jedném ciele, już ich nadzieje, ich losy w jedno się połączyły, jak dwa tony w muzyce w jeden harmonijny ton się zlé-

wają. Jako przy święceniach kapłańskich czynią się Panu Bogu śluby, tak ta, co nowy rodzaj kapłaństwa, wysoki stan małżeński przyjmuje na siebie, wielkich i trudnych jego obowiązków w obliczu Boga dopełniać przyrzeka. Już ona nie żyje dla siebie. Jej szczęściem i nieszczęściem jest szczęście i nieszczęście jej męża. Jeżeli on stanie się ubogim, ona dzieli jego ubóstwo, a wspólną pracą niedostatkom zaradza. Jeżeli on stanie się prześladowania celem, ona do znoszenia cierpień sił mu dodaje i razem z nim krzyż jego dźwiga. Jeżeli on wpadnie w chorobę, ona ze współczuciem, ze współcierpieniem, jak anioł stróż czuwa nieustannie nad nim, ona w jego cierpieniach tyle co on, jeżeli nie więcej, cierpi. Któż to ze łzami w oczach klęczy przed ołtarzem Boga, jakby anioł modlitwy, i z całym pobożności wyrazem patrzy w niebo oczyma duszy?— to cnotliwa małżonka za dobrego męża się modli. Wszystkie jej myśli i uczucia do niego się jakby do ogniska na promieniach miłości, zbiegają. A on w niej widzi skarb

swój najdroższy, duszy swojej połowę, daną sobie od samego Boga towarzyszkę. Kiedy go posługi publiczne i interesa zatrzymają czas dłuższy za domem, z radością wraca do niego, bo tam jest istota, co go wygląda, co o nim myśli; bo tam znajdzie wytchnienie po całodziennych trudach, bo tam go dłoń przyjazna powita, bo na łonie swojej ukochanej małżonki złoży jeśli ma jaki ciężar na sercu. Co mąż pracą i przemysłem przysporzy, to przy jéj pilności i oszczędności prawie we dwójnasób rośnie. Pismo święte taką niewiastę koroną męża nazywa, a cnotliwi naddziadowie nasi mawiali: Bóg ozdobił niebo słońcem, a dóm cnotliwą żoną.

Spełniły się cele jéj życzeń i modłów. Bóg jéj udzielił swojego błogosławieństwa i do godności matki ją wyniósł. Wśród najboleśniejszych cierpień, z niebezpieczeństwem własnego życia, dała życie dziecięciu; lecz odtąd w niém tylko i dla niego żyje. Płacz dziecięcia jéj duszę jakby mieczem przeszywa; cierpienia jego postokroć w jéj się odbijają

sercu. Ona ma za święty i razem za najmilszy obowiązek własnémi piersiami je karmić, i chyba w razie fizycznej niemożności, w razie nieodbitéj potrzeby, tego zaszczytu odstąpi, i własnemu dziécięciu cudzą pierś ssać pozwoli.

Nim się to wyhoduje dziécię, ileż to dobra, chrześciańska matka wycierpi, ile strawi nocy bezsennych, ile łez nad niém wyleje!

Kiedy wszystko spoczywa, ona jedna w milczeniu czuwa nad dziécięciem i modli się za nie do Boga. Kiedy na progu życia jeszcze dziécię mówić nie umiało, i tylko płaczem rozmawiało, i nie mogąc swoich cierpień opowiedzieć, płaczem tylko na ból się skarżyło; ona jedna po całych nocach nad kolébką jego zwieszona, na chwilę nie spuszczając go z oka, każde jego tchnienie, każde bicie serca, macierzyńskiém sercem rozumiała. I nikt nie widział tego poświęcenia się, i nikt nie był świadkiem jéj cierpień, i nikt o nich mówić nie będzie, a może o nich nawet niewdzięczne dzieci zapomną. Bóg je sam policzył i w księdze zasługi zapisał.

Matka to piérwsza rozwija duszę dziécięcia. Ona jest piérwszą jego nauczycielką; ona kieruje piérwszemi wrażeniami, które się tak piętnują w umyśle, że na całe życie niestarte zostawują ślady. Matka wléwa z mlékiem w serce dziécięcia uczucia szlachetne; do piérwszych słów, których dziécię wymawiać się uczy, miesza wysokie wyobrażenia Boga, religii, ludzkości. I cały ten język nieba, niezrozumiały dla dziecinnego pojęcia, staje się pokarmem, z którego się poźniéj stopniowie wykształca doskonałość duszy, stanowiąca jedyny cel chrześciańskiéj edukacyi. Nie zrozumié jéj dziecko, ale uwierzy i usłucha, bo ona jedna sercem umié mówić do serca dziécięcia, bo ona jedna ma sekret utworzyć w niém dobry grunt duszy, i nie już nauczyć, ale natchnąć go duchem dobrego; a ta piérwsza macierzyńska nauka nawet zboczeniom dalszéj edukacyi nieraz zapobiedz zdoła. Matka chrześciańska, jak źrenicy oka strzegąc dziécięcia, nie tylko dba o jego życie, zdrowie i dobry byt, ale jeszcze więcéj o wychowanie go w re-

ligii, dla chwały bożéj i dobra ludzkości. Zapomnieć o sobie, wyrzec się wszystkiego, wszystko dla ich dobra poświęcić, to naturalny instynkt serca macierzyńskiego. Ona kocha swe dzieci, ale kocha rozumnie, a zbytecznemi ich pieszczotami i niewczesném pobłażaniem nie psuje. ,,Kto dziécię swe trzyma w kar- ,,ności, ten z niego dozna pociechy, bo dzié- ,,cię znarowione staje się uporném. Jeżeli ,,je pieścisz, obawiaj się, abyś poźniéj nie ,,miał przyczyny smucenia się z niego. Nie ,,dozwalaj, aby działało podług własnéj woli, ,,i nie uniewinniaj jego wad, ale nakłaniaj ,,do dobrego, pokąd jest młodém" (1). Dobra matka nie kładzie między dziećmi różnicy, i jednemu więcéj miłości niż drugiemu nie okazuje. Ona nie tylko poświęca się swym dzieciom kiedy są w wieku niemowlęcym, ale kiedy dorastają, kiedy w nich już krew grać zaczyna, jeszcze więcéj czuwa nad niémi. Matka chrześciańska widzi w dzieciach błogosławień-

(1) Eccl. 30.

stwo boskie, kocha je po chrześciańsku; a jeżeliby się Panu Bogu podobało dotknąć ją stratą dziecięcia, ona płacze, ale z pokorą i rezygnacyą chrześciańską całuje rękę, która ją dotknęła, i prosi tylko Boga, aby do przeniesienia tej straty, jéj słabe siły umocnił.

Prawdziwie dobra matka nie tylko dzieci swoich, lecz wszystkich domowników jest matką. Ona jak anioł pokoju utrzymuje zgodę i jedność między niemi, a swoje szczęście na uszczęśliwieniu drugich zakłada. Życie domowe—to jéj państwo, nad którém ona swoje dobroczynne berło rozciąga. Pomimo to wszystko, za swoje poświęcenie się musi częstokroć nie tylko nagrody nie widzieć, ale niewdzięczności lub nawet prześladowania od tych, co jéj nie zrozumieją, doznać; atoli na widok jednéj istoty, do której się szczęścia przyłożyła, i o niewdzięczności, i o prześladowaniu zapomni. A jeżeli mimowolnie gorzka łza z oczu popłynie, wnet samo wzniesienie myśli ku niebu otrzeć ją zdoła. Ona nie pragnie nagrody na ziemi, bo jéj nagroda jest w niebie.

Ona dziękuje Bogu za same dolegliwości i utrapienia, bo wié, że cierpienia idą w parze z cnotą. Nie zraża się więc niczém i nie upada na silach, ale przy łasce boskiej, jak całopalna ofiara, całą siebie na ofiarę Bogu i ludzkości poświęca. Jéj najmilszy dom własny; ona każdą chwilę ma za straconą, któréj dla dobra dzieci, dla dobra męża i domu nie poświęciła.

Prawdziwie dobra matka w małym obrębie domowego życia jest jakby jakiś duch opiekuńczy, jakby widome objawienie się Opatrzności, jakby jakaś kapłanka domowa.

Salomon w przypowieściach mówi: „Niewiastę mężną któż znajdzie? Daleko i od „ostatecznych granic cena jéj. Ufa w niéj „serce męża jéj, odda mu dobrém a nie złém, „po wszystkie dni żywota swojego. Szukała „wełny i lnu, i robiła dowcipem rąk swoich. „I w nocy wstawała i dała korzyść domowni„kom swoim i pokarmy służebnicom swoim. „Skosztowała i ujrzała, że jest dobre gospo„darstwo jéj, nie zgaśnie w nocy kaganiec jéj.

„Nie będzie się bała zimna śnieżnego domo-„wi swemu, to wszyscy domownicy jéj ma-„ją po dwie suknie. Rękę swą otworzyła u-„bogiemu, a dłonie swe sciągnęła ku niedo-„statecznemu. Upatrywała ścieżki domu swe-„go, a chleba próżnując nie jadła. Powstali „synowie jéj i szczęśliwą sławili, mąż jéj „i chwalił ją. Omylna wdzięczność i marna „jest piękność; niewiasta bojąca się Boga, „ta będzie chwalona" (1).

Dokończcie uczuciem tego obrazu matki chrześciańskie! a poznawszy się na wysokiej godności waszéj, ducha religii i cnoty ojców z mlékiem w pokolenia przelejcie.

A. S. Krasiński.

(1) Przypowiesci Salomona rozdział ostatni.



„Nie będzie się bała zimna śnieżnego domo-„wi swemu, bo wszyscy domownicy jej ma-„ją po dwie suknie. Rękę swą otworzyła u-„bogiemu, a dłonie swe ściągnęła ku niedo-„statecznemu. Upatrywała ścieżki domu swe-„go, a chleba próżnując nie jadła. Powstali „synowie jej, szczęśliwą sławili, mąż jej „i chwalił ją. Omylna wdzięczność i marna „jest piękność; niewiasta bojąca się Boga, „ta będzie chwalona" (1).

Dokończcie uczuciem tego obrazu matki chrześciańskie! a poznawszy się na wysokiej godności waszej, ducha religii i cnoty ojców z mlekiem w pokolenia przelejcie.

A. S. Brzozowska.

(1) Przypowieści Salomona rozdział ostatni.

Spis rzeczy.

P r o z a.